Kraków, dnia 2 stycznia 1910.

ZESZYT 1.
ROK I.

Kwartalnie
13 zeszytów
tylko
2 kor. 40 hal.
W ajencjach 2 kor. 70 hal.

TYGODNIK NARODOWY
ILUSTROWANY

Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy“ przesyłać należy przekazem pocztowym lub czekiem do Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie ulica Wiślna 2.

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal. Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W ajencjach prenumerata kwartalnie **2** kor. **70** hal. Pojedyńczy numer **24** hal.

Administracja „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie. ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.

Nr. 1. Kraków, dnia 2 Stycznia 1909. ROK 1.



„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: :: :: **Przedpłatę** rocznie 9 koron, półrocznie 4 korony 80 hal., ćwierćrocznie 2 kor. 40 hal. — należy przesyłać na ręce **Administracyi** „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (biuro p. Hupczyca). — W ajencjach na prowincyi prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Ogłoszenia: Od wiersza 1-łamowego petytem 30 hal. Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat. W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro pana Maryana Hupczyca ul. Wiślna 2.
Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. **112 905.**
Wydawca: A. Marweg.

Jutro!...

„Kształt *jutra* i jego dusze
„Dzisiaj wydumać muszę,
„Nim dobędzie je dłuto czasu z życia brył!
Konopnicka.

Zamyka się karta roku minionego.

Za nią, w mgle niepewności, nadziei i oczekiwania wstaje *jutro*...

Stroi się w nową datę roku spływającego z przestrzeni nieskończoności, owija się tajemniczością ukrywającą wszystko w jej głębiach, złoci swe czoło rąbkiem nadziei nigdy nie gasnącej i idzie ku nam oczekiwane, wyglądane, upragnione...

Jutro!... Któż wie co ono w swoich dłoniach niesie, kto wie czem ono po naszych sercach ryć będzie, swoje dni, tygodnie i miesiące, kto wie o ile ono nas wzbogaci lub zuboży, podniesie lub poniży — zbliży i złączy lub rozdzieli i oddali...

Co dzień z zapadającym mrokiem wieczoru, z gasnącym blaskiem dnia, *jutro* się ku nam nachyla, w dzień jest ono tak samo tajemnicze, niepewne i złudne, a jednak, gdy odwraca się karta księgi czasu i nowego roku data się zmienia, my przed *jutrem* stajemy zadumani, patrzymy trwożni i pytamy szeptem:

— Co będzie?...

Żaliż bezsilni i bezradni czekać musim istotnie tylko na to co *jutro* poda i rzuci na nasze czoła jako płaszcz na skazańców i wyrok na niewolnych?...

Żaliż jesteśmy wobec potęgi czasu tylko figurkami na szachownicy rozstawionymi, którymi porusza ręka gracza?...

Żaliż nie mamy siły, by *jutro* ująć w nasze dłonie i kierować niem ku celom dobrze uplanowanym?

Słusznie Konopnicka powiada: — Zanim dłuto czasu wyrzeźbi *jutro* — my je musimy stworzyć duchowo i ideowo, zanim ono przyjdzie ku nam na karcie nowego roku zapisane, my je musimy ująć w ręce i wieść po tych szlakach, na których obowiązki narodowe i społeczne nam stać każą.

Jutro jest bańką mydlaną tylko dla tych, którzy jako dzieci gonią za grą kolorów i błyskiem powabu.

Jutro jest tajemniczą zagadką tylko dla tych, którzy żyją dzisiaj dla dzisiaj, którzy tylko siebie

widzą i tylko swojej ścieżki mają kierunek wytyczony.

Jutro jest czemś nowem i nieznanem tylko dla tych, którzy nie pojęli, iż życia obowiązki i życia cele nie zmieniają się, gdy my z ciasnoty samolubnych pragnień nie wychodzimy ani o krok dalej ani wyżej.

Jutro to nasz trud, praca, obowiązek, czyn i nasza wartość!...

Kształt jutra i jego duszę, dzisiaj wydumać muszę!...

A jeśli ja duszę jutra dzisiaj wydumam tak ciasną i małą jak małym i ciasnym jest cel mego życia, to skądże *jutro* może przyjść ku mnie potężne, olbrzymie wzniosłe?...

A jeśli ja duszę jutra dzisiaj zamykam tylko w programie mego jednego życia i celu, przyjęcia jak najmniej na siebie trudu, usunięcie od siebie jak najdalej celów narodowych, to skądże to jutro może przyjść do mnie w blasku zapału, z pochodnią natchnienia, z hasłem czynu ofiarnego?..

„We mnie jest ta miara,
„Ta pragnień złota czara,
„Którą mi czerpać dano z wielkich życia mórz...

We mnie jest ta moc i potęga, z którą ja iść mogę na dalekie obszary, na niezmierzonych pól orkę, na rozkucie ciasnej obroży, na wołanie bohaterskie do służby wielu — dla wielu... i żadne *jutro* mnie w tej drodze nie wstrzyma, żadne *jutro* nie stanie wobec mnie tak groźne, by plany mej pracy obalić lub zniweczyć było zdolne.

Taką miarą *jutra* w Polsce pracowano wiek cały po rozbiorze, taką miarą *jutra* wykuwano dusze przyszłości wtedy, gdy najcięższe gromy w życie polskie biły i dlatego my ani „wywłaszczeni“, ani „wynarodowieni“ nie jesteśmy.

Lecz w tem właśnie powinności początek zamyka się, ażeby umieć kształt *jutra* wydumać i z nim iść ku przyszłości.

„Przyszłość to trud! Nie zejdzie ona z nieba...
„Przez żaden cud, lecz zdobyć ją potrzeba...

Zdobywać zaś *jutro* lepsze w Ojczyźnie mogą tylko ci, którzy dążą wspólną pracą wielu jednostek do poprawienia tego wszystkiego, w czem przeszłość i teraźniejszość niedoskonałą była..

Zamyka się karta roku minionego.

Z otchłani nieskończoności, w blaskach nadziei, w oczekiwania tęsknocie idzie *jutro*... stroi się w nową datę roku 1910 i wabi nas — niepewnością.

Kiedyż wyjdziemy silni i powiemy:

— Jutro!... Pracowaliśmy na ciebie w Imię Boże z hasłem Ojczyzny — przyjdź i bądź takim, na jakie Polska czekała!... *Płomień.*

WSTAŁ W PIEŚNI.

„O złote serce śpiewaka i sługi,
„Tak po męczeńsku cierpiące dla Pana,
„Miej grób, którego nie rozorzą pługi
„Do zaklętego podobny kurchanu,
„Wiecznie tu wstawaj w pieśni i wiek długi
„Śpiewaj! *Słowacki.*

I oto stało się jako śpiewał...

I oto wstał z grobu dalekiego, w pieśni roznutej w tęczowych blaskach był z nami i oto imię jego dzwoniło w wspomnieniach i czci, wszędy tam, gdzie polskie serca biją i gdzie przez miłość Ojczyzny czcić umieją tych, którzy na wielkość ducha narodowego siejbę myśli rzucali.

Stało się oto jako śpiewał...

Wstał Słowacki w pieśni... rozsnuła się jakaś niewidzialna tęcza strun siedmiobarwnych, jakoweś blaski wielkiej arfy zamigotały nad przestrzenią ojczystych łanów i od miast, prastarych grodów i stolic dzielnicowych, aż do najuboższych miasteczek i wsi dalekich, szło jedno granie rzewne i piękne, nuta wspomnień i czci dla śpiewaka „*Króla Ducha*“ — słychać było wołanie z szeregu tłumów rwące się w jutro: — *Śpiewaj.*

Rok Słowackiego był zaiste rokiem jego pieśni. *On Juliusz* tak potężny i wielki, tak wstrząsający wzywaniem do obowiązków olbrzymich, *On* tak mało znany rzeszom ogromnym, a prawie obcy wśród wioskowych ognisk, *On*, tak nierozumiany przez współczesnych i tak niedościgły dla wielu, wstał teraz w pieśni i śpiewał...

Miał grób do zaklętego podobny kurhanu, grób nie rozorany pługiem, nie ustrojony kwieciem pól naszych, nie kołysany szmerem Wisły, nie wstrząsający się od grania Zygmunta, a jednak wstał on z grobu obczyzny i wrócił do nas, a myśmy go czuli blisko dusz i serc naszych.

Rok Słowackiego zaprawdę dał nam Słowackiego.

Jakkolwiek zdania są podzielone, jakkolwiek jedni sądzą, iż w porównaniu do obchodu Mickiewiczowskiego za mało dla Juliusza zrobiono, jakkolwiek drudzy twierdzą, iż byłoby wszystko uroczyściej wypadło, gdyby istotnie trumnę Słowackiego z obcej ziemi na ojczysty łan wniesiono, rzecz stanowczo możemy, iż cześć poety głoszono z zapałem, treść dzieł jego rozbierano starannie, ogromnie wiele włożono pracy w pisma zbiorowe, wyjaśniające skarbnic uczuć i myśli Juliusza — nad kompletnem wylaniem utworów Słowackiego pracowano gorliwie, a co więcej — zaczęto strząsać z pamięci „*Króla Ducha*“ te zarzuty, które



Piotr Stachiewicz.

SZCZĘŚĆ BOŻE!!

Szczęść Boże! Szczęść Boże!
Na daleką drogę,
Idziecie na orkę i na bujny siew.
Ojczyźnie za wolność trud niesiecie, krew.
Choć pomódz nie mogę
I tylko ten jeden w wiosce zagon orze,
Sercem, myślą z wami
Szczęśc Boże! Szczęść Boże!

Szczęść Boże! Szczęść Boże!
Nowe słońce świta.
Nie wyziębło serce i nie zmalał duch,
Pieśń słychać daleko — we wsi inny ruch
Prawda nie zakryta. —
Ojczyźnie dziś służyć każdy z nas już może
Przy pługu — na roli
Szczęść Boże! Szczęść Boże!

Szczęść Boże! Szczęść Boże!
Żegnajcie! Bóg z wami
A choć ja przy pługu — idę myślą w dal
Bo słyszę jęk ziemi, ból czuje i żal
Krzywda sieje łzami...
Niechaj świta jutro... nowe wschodzą zorze
Przy pracy — dłoń w dłoni
Szczęść Boże! Szczęść Boże!

niesłusznie przyciemniały tę postać jasną i czystą. *„Księga Słowackiego“* olbrzymie dzieło zebrane z prac profesorów gimnazyalnych w Galicyi, to wieniec wawrzynu zasłużonego. Rozliczne księgi o Juliuszu, od najwspanialszych do najpopularniejszych, to echa pieśni brzmiącej wśród ojczystych łanów. Obchody urządzane we Lwowie, Krakowie, Poznaniu i innych miastach, to były może skromne, ale szczere wyrazy czci.

Wstał w pieśni *„Król Duch“* i śpiewał Ojczyźnie, a śpiewał teraz inaczej jak ongi, gdy tęskny i rozżalony szeptał z skargą cichą:

— Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
— W przyszłość — pioruny boże jeszcze biją!

Wstał w pieśni i zdawało się szedł niby ptak biały, wyciągnął dłonie, uderzał w struny i szeptał:

„Skrzydeł wewnętrzną pozłotą
„Nakrywam *chatę* — skąd miód ludzie biorą,
„Gotów jak gołąb zostać nad ciemnotą
„Łonem świecący...
„Ludziom i trzodkom cichym —
Błogosławię!

„Przy miesiącu z pastuszków kolędą
„Wyglądać będą, aż ze złotych stołów
„Do których prosi *Bóg*, a chłopki siędą,
„Przyniosą mi chleb wędrowne żórawie,
„Ptakom i stołom ludu
Błogosławię!

„I lasom, które w ciągłych płaczą szumach
„I pięknym wiosnom i złocistym lasom,
„I starcom, którzy pogrążeni w dumach
„Wesołym sercom i dworom i chatom
„I ogniom które dziś się rodzą w tłumach
Błogosławię!

. . . .

Wstało w pieśni owo złote serce śpiewaka i sługi... błogosławiąc wszystkiemu w Ojczyźnie, budziło nas swą potężną pieśnią i w sercach naszych znalazło grób, do zaklętego podobny kurchanu z którego wracać i wstawać będzie ciągle. Rok Słowackiego niech nie kończy się z datą roku grunwaldzkiego. Wszystko co uczyniliśmy w roku jubileuszowym ma być początkiem dalszej pracy. Jak nieśmiertelny Adam żyje z nami i nas wiedzie, tak *„Król Duch“* Juliusza niech budzi sennych rozpala zimnych i podnosi małych.. bo olbrzymią mocą ducha zdolni będziemy wcielić myśl wieszcza w życie narodu.

Jan Świerk.

Pierwszy szlachcic — mieszczanin.

Było to 29 kwietnia 1791 roku...

Do ratusza w Warszawie szedł Stanisław Małachowski, marszałek sejmu czteroletniego.

Za marszałkiem sunęła szlachta, rycerska, mężna, dostojna.

Cóż za gody czekają na ratuszu? Czem mieszczanie warszawscy przyjmą i powitają gości dotychczas niewidywanych?..

Dotychczas bywało, iż szli mieszczanie w ważnych chwilach do sal senatorskich, w progi hetmanów i marszałków, ale, ażeby do mieszczan dostojni szlachcice dążyli, tego nie bywało.

Cóż za uroczysta chwila 29 kwietnia 1791 r.?

Stanisław Małachowski, marszałek sejmu, poseł, potomek starożytnego rodu, oto wchodzi do sali radnych na ratuszu i rzecze:

— Podajcie mi Panowie księgę, wpisać się pragnę w grono mieszczan, chcę być równy wam i was równymi sobie uznać pragnę.

I stał się w dziejach Polski krok doniosłego znaczenia I oto przed dniem 3 go maja, przed ogłoszeniem konstytucyi, Małachowski czynem stwierdził zasadę równości braterskiej w Ojczyźnie.

Pierwszy szlachcic polski stał się mieszczaninem, pierwszy szlachcic odrzucił od siebie pychę i przywileje, pierwszy szlachcic wyciągnął rękę do braci, których dotychczas nie uznawano synami narodu

Za Stanisławem Małachowskim czterdziestu szlachciców wpisało się w księgi mieszczaństwa w Warszawie.

— — — — — — — — — — — —

Dnia 29 grudnia 1809 roku żałoba okryła Warszawę i całą Polskę Umarł tego dnia ów właśnie Stanisław Małachowski, który był czczony i szanowany przez wszystkich

Nie było prawie jednego serca, któreby nie rzekło z żalem: — szkoda człowieka!... Nie było miasta i wioski, gdzieby nie odprawiano żałobnego nabożeństwa i nie uczczono pamięci Małachowskiego.

A jednak nie zdobiła czoła jego korona królewska, a jednak nie zasłynął on sławą rycerza pokonywającego wrogów w bitwie, a jednak nie czem innem jak sercem i miłością stał on wyżej nad wielu i dlatego pamięć jego w wspomnieniach naszych czczoną być powinna...

Dnia 29 grudnia 1909 roku... setna rocznica śmierci pierwszego szlachcica-mieszczanina.



Piotr Stachiewicz.

NA ZWIADACH.

PO ROSIE.

A kiedyż się doczekamy
Tej wiosenki, tego lata,
Że pod strzechą pod zmurszałą
Wybieleje nasza chata?
A kiedyż się doczekamy
Tego ranka, tego dzionka,
Że przez szybkę, przez okienko,
Zajrzy w izbę więcej słonka?
A kiedyż się doczekamy
Takiej zorzy, takiej doli,
Że nam zejdą złote kłosy
Na tej naszej czarnej roli?
Lata wicher po pustkowiu,
Ze śnieżycą wicher lata.
Na miesięcznym mroźnym nowie
Wybieleje nasza chata.
Chodzi niebem dzionek biały,
Białe słonko niebem chodzi,
Łzami rola zasiewana
Złote kłosy wiosną rodzi.

Konopnicka.

Moje dziecię.

„Człowiek to nietylko twoje dziecię, członek twego domu — to też jest dziecię ludzkości, to członek tej wielkiej *rodziny*, której matką jest Ojczyzna, a ojcem Bóg."

Tulisz dziecię na ręku i szepcesz: moje!...

Wpatrujesz się w piękne kształty zywego posągu i myślisz — moje!...

Słuchasz szczebiotania jak melodyi najmilszej i czujesz, iż błogość twe serce przejmuje... ono moje...

Lecz jakże daleką jest owa myśl od twej duszy, iż dzięcię twoje nie jest twojem.

Gdybyś jeden raz skupiła uwagę i rozważyła dokładnie czem jest dziecię twoje, w twoim ręku, w twojej opiece i pod twoim kierunkiem, tobyś może w wielu rzeczach stała się ostrożniejszą i gorliwszą.

Tulisz dziecię na ręku i szepcesz... moje!...

A ono jest twojem tylko dlatego, ażebyś nad niem pracowała, lecz nie bawiła się niem.

Tulisz dziecię na ręku i mówisz: moje!...

A ono jest twoje tylko dlatego, byś z niego uczyniła człowieka godnego czci i pożytecznego dla Ojczyzny.

Kwiat — który kwitnie przy twoim sercu, lecz kłosem bujnym pójdzie innym służyć.

Klejnot czysty, który jaśnieje w twoim domu, lecz wartość jego na pożytek narodu musi być obrócona..

Serce ciche, które budzi się przy twej piosence, lecz szczęście swe musi oddać Ojczyźnie na służbę.

Gwiazdka promienna, która oświeca cel twego życia, lecz tobie nie wolno jej przy sobie zatrzymywać i sobą ją osłaniać...

Kilka lat i ptak z gniazda wylatywać pocznie, na coraz dalsze pola, na coraz szersze kręgi...

Kilka lat i obowiązki oplatać będą coraz mocniejszą siecią i coraz więcej od ciebie odsuwać poczną to dziecię, które nazywasz — moje!..

Czy ta wiadomość smucić cię może i żalu jęk wywoła?...

Czemże by dziecię twoje było, gdyby nie stało się dziecięciem Ojczyzny i synem Boga?...

Gdyby było tylko twoje — byłoby bawidełkiem, cackiem, ptaszyną, lalką, klejnotem...

A tu jest człowiek-duch... skarb narodu!...

Moje dziecię!... Ale oddać je trzeba tej Ojczyźnie, która na niego czeka. Oddać je muszę jako klejnot mój najwspanialszy, najcenniejszy, jako ducha potężnego, zdolnego do służby w narodzie...

A więc moje dziecię kolebane piosenką, przygarnięte do łona, upowite marzeniami o szczęściu, to ów człowiek na którego czeka życie!...

Ileż to lat pracy i trudu na to moje dziecię czeka! Ileż to wichrów nad jego głową huczeć będzie!.. Ileż to wstrząśnień uczucia jego pokaleczy...

Owo pisklę drobne... pączek wątły... otulony w zwoje białe... osłonięte mą dłonią... dziecię moje!...

Spójrz na to czoło białe i dumaj nad niem... Matko-Polko.

Płomień.



„ŚMIERĆ ELLENAI.“

... długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę i położyła się na łożu liścianem pomiędzy renami swojemi, aby umrzeć.

... A był zachód słońca; obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zalane łzami wielkiemi, rzekła Ellenai: umiłowałam ciebie, bracie mój i opuszczam.

... A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: — czemże ja będę po śmierci.

... Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

... Jam się do ciebie przywiązała jak siostra i jak matka twoja i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy.

... Nie zapominaj o mnie — bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

... Jeżeli wiesz, gdzie ludzie chodzą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu, oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje jeśli jeszcze żyją.

... I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

... I ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata. Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża... płakał.

„Anhelli“ — Juliusza Słowackiego.

OSTATNIA PIEŚŃ!

W starym kościółku brzmią śpiewy.

Mieszkańcy Citowian, miasteczka na Litwie, usłyszeli ze zgrozą uwiadomienie urzędowe, iż kościół ma być zamieniony na cerkiew prawosławną.

— Jakto? kościół od tak dawna wśród nas stojący, kościół jeszcze przez Chodkiewicza założony, kościół, świadek naszego życia, obrzędów, sakramentów, miałżeby być nam zabrany?... – pytają mieszkańcy z trwogą i przerażeniem...

— Nie damy kościoła naszego! — odzywają się nagle głosy liczne. Nie damy świątyni drogiej sercu!..

A było w rozkazie naczelnika z Rosien przewidziane, iż po ukończonych modłach — kościół ma być zamknięty.

— Po ukończonych modłach i śpiewach? — powtarza lud po chwili — dobrze! Skoro ucichnie pieśń pobożna w tym kościołku, zamkniecie go... Zgoda.

Urzędnik wysłany na zamknięcie kościoła — czeka.

Lud ścieli się falą pochylonych głów i śpiewa pieśń:

— Ostatnia to pieśń — powtarza jeden, drugi i dziesiąty... ostatnia pieśń... po której Chrystusa zabiorą, organy wyniosą, nam więcej śpiewać nie pozwolą.

I pieśń brzmi, płacze, łka, żebrze o litość i zmiłowanie.

Przyszła noc. Z Citowian przybywa świeży zastęp, mienia się z tymi, którzy w kościele od rana trwają, a pieśń brzmi dalej i łzami myta, ulata echem w bory i puszcze.

Ostatnia pieśń...

Noc przeszła — świt zajrzał przez chmur obłoki, dzień mija, długi, ciężki dzień walki o prawo ludu, a w kościele modły nie ustają, pieśń nie przerywa swej nici, rwanej bólem z serc wielu, na którą łzy krwawe niżą się różańcem boleści strasznej...

Z miasta przynoszą pożywienie — świeże siły napływają... światła nowe zapalają, organy skarżą się i jęczą — lud śpiewa i śpiewa.

Tak przeszło dni pięć...

Z Rosien przybywa naczelnik wojenny z policmajstrem.

Idzie wprost do wielkiego ołtarza..

Lud mu drogę zamyka, a pieśń rwie się z piersi wszystkich i ze łzami spada pod stopy moskiewskie.

— Czy to bunt? — pyta naczelnik.

— Nie panie! My wszystko robimy, ażeby nasz kościół dla nas pozostał. 20 tysięcy rubli damy na cerkiew prawosławną, zbudujemy ją — tylko kościoła nie odbierajcie.

Wybrano 20 włościan w deputacyę.

Dziesięciu z nich poszło do Potapowa z prośbą o przyjęcie 20.000 rubli na cerkiew prawosławną, byle kościół im zostawiono.

Drugich dziesięciu czekało. W razie, gdyby tamtą deputacyę „za zuchwalstwo“ zamknięto, ci pojadą do Petersburga...

Rozkazu nie cofnięto.

Ostatnia pieśń brzmi długo...

Wokoło kościoła postawiona straż odpędza, kolbuje i odpycha tych, którzy do kościoła dążą — lecz to nie wstrzymuje, nie łamie odważnych...

Chcąc wstrzymać śpiewy, wydzierają z rąk wchodzących książki do modlenia. „Złote ołtarzyki“, „Oficium“, to wszystko przechodzi w moskiewskie ręce i już kilka worków z książkami zabranemi stoi pod kościołem, a pieśń brzmi i nie ustaje.

Nie jednym już włosy zbielały przez ten wielki czas błagania, nie jednym już wargi krwią zaszły i głos śpiewający jest jękiem bolu najokropniejszego...

Organów muzyka bije o szyby okien jakby chciała się przez nie wydostać i płynąć dalej, nad sioła i miasta, nad bory i knieje, a wołać naród cały do długiej, wielkiej pieśni, wobec której wróg nie może wejść do świątyni i nie może ludu z niej wytrącić...

Na miejsce „zbrodni“ przyjechał już gubernator, przybyła sotnia kozaków i 2 roty piechoty.

Modły nie ustają, dzień i noc kościół pełen pieśni brzmi...

Ostatnia pieśń ludu, broniącego swej wiary...

A kiedy o północy gubernator każe kozakom z nahajkami wchodzić do kościoła i przemocą „buntowników“ wypędzać — w tej chwili lud poczyna śpiewać „Anioł pasterzom mówił“.

Ozwał się cichy dzwonek. Pasterka się rozpoczęła..

Z złotych gwiazd nieba spływa radości pieśń potężna i jasna. Z krańca na kraniec ziemi, kędy krzyż Chrystusa znany i godło wiary nie zatarte, wszędy radość rozlewa się błoga, nadzieja ducha ożywia... „Anioł pasterzom mówił“.

A tu jakże w tę świętą noc zbawienia ludu pieśń ta dzwoni dzisiaj?...

Ostatnia pieśń..

Kapłan obraca się do ludu i głosem łzami tłumionym śpiewa: „Gloria in excelsis deo“...



Maksymilian Gierymski.

Artylerya konna zajeżdżająca na pozycyę.

Lud przypada twarzą do posadzki, która od łez mokra, zda się płacze także..

A organów tony są już tylko szeptem cichym — bo umiejący grać na nich wpół żywy, ledwie palcami poruszać może...

Skończyła się Pasterka.

Z kościoła nikt nie wychodzi...

Pieśni już niema, jest tylko jedno, wielkie straszne łkanie, które wstrząsa sklepieniem kościoła, bije o ściany jak gromu uderzenie.

Wchodzi wojsko.

Kapłana wloką, lud wypędzają kolbami, krwawią, kaleczą, organy wyrywają, wynoszą, światła gaszą.. Boga w hostyi ukrytego znieważają..

Wypchnięty, wywleczony, wpół żywy lud biedny, rzuca się jeszcze do dzwonów, poczyna wstrząsać niemi, bije o krawędzie sercem raz po raz i rzuca światu, borom, polom, całej Polsce, Europie całej, rzuca wielką, ostatnią pieśń skargi narodu krzywdzonego i deptanego bez winy...

Ostatnia pieśń!...

Brzmiała na Litwie w r. 1868 w Citowianach, w noc Bożego Narodzenia...

Czy jedna tylko?..

Jak całe Podlasie i Litwa, tak podobnych pieśni było tyle, ile kościołów wróg zabierał, ile cerkwi prawosławnych stwarzał.

I pieśń ta brzmi dziś i dziś jeszcze chodzi ona jak sierota najuboższa polami, lasami, łzami oblicza ryje, bolem serca gryzie, skargą w niebo bije, bo nie nastrojono lutni na weselny ton i nie rozplątano krzywd strasznych melodyi...

Są pieśni jak grobowce smętne, jak rozpacz czarne, jak ból ciężkie.

Jakto w domu bywa.

Porządek zajęć domowych, powinien iść tak równo, regularnie i stale, jak w zegarku idą wskazówki. Nie można ruchu zegaru ani przyspieszać ani spóźniać, bo wtedy wszystko źle będzie zastosowane do praw i obowiązków życia. Tak samo nie wolno ani spóźniać, ani przyspieszać ruchu życia domowego i prac gospodarskich. Nie jest to wszystko jedno, czy śniadanie zostanie podane o godzinę później lub wcześniej, czy obiad spóźni się o godzinę, czy sprzątanie w pokojach będzie trwało trzy godziny, czy służąca z miasta przyjdzie o 11-tej zamiast o 9-tej.

To są wszystko ogromnie ważne sprawy, bo to się wszystko składa na całość i ład domowego gospodarstwa, a kobiecie, która przyjęła na siebie obowiązki tak ważne, powinno wszakże na tem zależeć, ażeby godnie z nich się wywiązała.

Lecz są domy wiecznie spóźniające się we wszystkiem.

Dzieci za późno przyszły do szkoły, mąż za późno przyszedł do bióra, pani zapóźno z miasta przyszła, służąca zapóźno kolacyę podała, tak, iż wiecznie tam jest narzekanie i stękanie, a niema rady na pchnięcie prac w tempie zgodnym z ruchem czasu.

Jeśli kto winien tutaj, to tylko pani domu, bo ona zawsze i wszędzie stać musi na straży i ona kierować musi ruchem czynności służby, dzieci, a nawet siebie samej.

W takim domu, gdzie gospodarstwo jest zawsze spóźnione, musi iść koniecznie ślad w ślad pośpiech, który niby to chce dogonić chwile minione, lecz ich nigdy nie chwyci, a w zamian za to wlecze za sobą lichość wykonywanych prac. Bo gdzie pośpiech, tam praca ladajaka, gdzie gonienie za godziną minioną, tam robota najgorsza, a gdzie to wszystko razem, tam zwykle dużo rozdraźnienia, niecierpliwości, gniew, puku, huku i wrzawy tak, aż dom staje się podpiekiełkiem i wszyscy radzi z niego uciekają.

Panna w domu przyzwyczajona do spóźniania się ciągłego, wlecze to nawyknienie w dom męża. Spóźniła się pani z wstaniem rano, późno wyprawiła służącą do miasta, późno obiad nastawiono, późno legumina zadysponowana, aż wreszcie tak jedno za drugiem się plącze iż nigdy nic na czas nie jest wykonane.

Takie gospodarstwo domowe jest utrapieniem prawdziwem i niejeden mąż na nie narzeka, niejedne dzieci psują się w tych okolicznościach.

Bielizna do prania dana za późno, gdy już zapasy czystej wyczerpały się. Sukienka dziecka dana do przerobienia zapóźno, gdy już chłopczyna przeziębił się i kaszle mocno.

A pani zawsze tłumaczy się:

— Zapomniałam o tem, „na śmierć“ zapomniałam!...

Lecz moja dobra pani, właśnie ty powinnaś pamiętać ciągle, iż nie wolno zapominać o obowiązkach, iż gospodarstwo domowe wymaga ciągłej czujności, ciągłej opieki w drobnostkach, szczegółach i w każdym kroku.

Jak zegarek dobrze w ruch wprowadzony nie omyli się w wskazywaniu godzin, tak ruch domowych prac i obowiązków gospodarczych dobrze kierowany, nie przyniesie nigdy spóźnienia, nie wywoła zapomnienia, nie obarczy zanadto tych, którzy w nim się obracają. Przeciwnie, gdzie niema porządku, ciągłe zapominanie się i spóźnianie, tam jedno drugie potrąca, jedno drugiemu przeszkadza, tam się jedno rozsypało, drugie zatraciło, trzecie zbiło, tam pośpiechu tyle, jakby ogień gaszono, wołania i napędzania wiele, jakby świat nagle z snu został zbudzony.

Aby uchronić życie przyszłych domów od podobnych niedomagań, należy dziewczątko wcześnie przyuczać do wykonywania robót w czas i w należytej porze. Owa panna „*guzdralska*“ opisana wierszem dowcipnym, która tak się do ślubu zbierała długo, iż wreszcie pan młody znudzony odjechał, mówiąc, „jabym się wprzód postarzał nimby się ona ubrała“, taka panna zjawia się niestety często wśród żyjących ludzi.

Jestto kaleka unieszczęśliwiająca i siebie i drugich. A skąd początek kalectwa jeśli nie z nawyknień drobnych, spóźniań się małych, z których następnie wytwarza się guzdralstwo i wykonywanie wszelkich prac i obowiązków „zapóźno“.

Małej dziewczynce należy przypominać o tem iżby wedle wskazówek zegaru poczynała i kończyła naukę, zabawę, szycie, porządkowanie i t. d. Podział godzin domowych zajęć dla dzieci to jest ogromnie ważny punkt w wychowaniu.

Do tej godziny mają dzieci być ubrane, o tej godzinie wolno im się bawić, o tej mają zająć się porządkowaniem zabawek, książek, obrazków, o tej godzinie przysposobić wszystko na jutro do szkoły... a w taki sposób prowadzone panienki potrafią kiedyś, później wedle wskazówek czasu cały porządek domowy utrzymać.

Jadwiga S.



BOŻE NARODZENIE.

Kolenda Wielkopolska.

Hej kolenda; na ziemi
Gwałt i rozbój się pleni:
Czart nam wydrzeć chce rolę,
Praca w oczy go kole,
Wie, że siła — gdzie grzęda.
Hej kolenda kolenda!

Hej kolenda, kolenda,
Po co próżna gawęda:
Ty rób swoje, ja swoje,
Tam stać będę, gdzie stoję,
Gdzie ojczysta ma grzęda,
Hej kolenda, kolenda!

Dziesięcioro przykazań
To mi prawem jest, a zań
Ja krew oddam i życie
I stać będę niezbicie,
Gdzie ojczysta ma grzęda;
Hej kolenda, kolenda!

Całym światem zawładnij,
Ja ci powiem: nie kradnij!
Ty grzechami świat przemierz,
Ja stać będę, gdzie lemiesz,
Gdziej ojczysta ma grzęda:
Hej kolenda, kolenda!

Poznań. *Józef Kościelski.*

Mizerna cicha!

Mizerna cicha, stajenka licha,
Pełna niebieskiej chwały —
A w niej leżący, na sianku śpiący
W promieniach Jezus mały.

Mizerna cicha, pełna łez smutku
Polska kraina — zdeptana —
Kolędą, pieśnią, świętem tradycyi
Czci przyjście Boga i Pana.

Mizerna cicha, stajenka licha
Przed nią Anioły z skrzydłami...
My z polskiej ziemi, z szeptem modlitwy
Idziemy cisi ze łzami.

O Jezu Dobry!... Ulżyj niedoli
Przyszedłeś gładzić tu winy...
Spojrz w nasze serca — umocnij ducha
Błogosław myśli i czyny.

I. S.

Wychowanie naszych dziewcząt.

Gdy od szóstego roku życia, zacznie dziewczątko do szkoły chodzić, staje się prawie gościem w domu, życia domowego warunków nie widzi i nie zna, a po ukończeniu wyższych studyów, w roku 18 lub 19-tym jako panna do zamężcia przysposobiona staje się w domu jakimś półbożyszczem, pięknem, strojnem, które jest jako ptak przelotny i lada dzień uleci, aby nie wrócić. Mania czy Zosia wybiega o pół do 8-mej rano z torebką książek, wraca na obiad, po obiedzie ma łekcye muzyki lub francuskiego, potem uczy się na jutro, idzie wieczór wcześnie spocząć, aby rano znów jak najrychlej do szkoły biedz.

Czem więcej lat, tem więcej nauk. Aż wreszcie panna 14—15-letnia, chociaż zna dobrze przylądki Afryki i wyliczy chronologię Hohenzollernów i Hohenstaufów, nie wie przecież wcale czego potrzeba, ażeby bieliznę w praniu uchronić od zażółknięcia, w jaki sposób zaoszczędza się węgla przy ogrzewaniu mieszkania, na czem polega jakość masła niefałszowanego.

Nie żartami są owe czasem w rubryce „wesołych kącików" czytywane zdarzenia z życia młodych gospodyń, kiedy to pani każe jaja odnieść na gniazdo, aby urosły, kiedy prosi służącą, aby z 6-ciu jaj zrobiła lane ciasto do rosołu na 3 osoby, kiedy dowiaduje się z zdziwieniem, iż polędwica nie z każdej części wołu da się wykroić...

Nie są to żarty, ale bolesne prawdy, udowadniające, jak wychowanie i oświecanie naszych pań jest kulawe i nie zastosowane wcale do obowiązków.

Mówiła raz ze mną jedna z matek bardzo światłych, mówiła o córkach swoich z największą troską temi słowy:

— Kiedy one nauczą się obowiązki domoworodzinne poznawać, nie wiem, ale to wiem, iż dziś one są już inne, jak być powinno. Już życie szkolne, pozadomowe, tak je oziębiło dla rodzinnych obowiązków, tak je uniosło daleko od ciszy w domu, iż mam to przeświadczenie, dobremi żonami i matkami nie będą.

Pannom teraźniejszym zdają się zajęcia domowo gospodarcze tak nudne, liche i nawet poniżające, iż z wzgardą prawie patrzą na te „gąski", które jeszcze chcą wziąć bieliznę do cerowania, lub w kuchni zatrudnią swe rączki odmierzeniem mleka przez mleczarkę zostawionego.

Panna po ukończeniu szkół, stara się o zajęcie jakieś biurowe, o posadę jakąś płatną, bo woli stokroć więcej przesiedzieć w biurze parę godzin i przyjść na gotowy obiad do domu, jak w domu troszczyć się o wszystko przy słudze, męczyć przy porządku, obliczać każdy grosz w reszcie z miasta przyniesiony.

A potem, gdy mąż wprowadzi młodą panią, do domu, gdy minie pierwszy i drugi miesiąc miodowy, staje realna prawda życia w progu nowego mieszkania i żąda obliczenia plusów z minusami i pyta dlaczego to i owo źle, niedokładnie wykonane, czemu z wziętych obowiązków nic nie jest wypełnione tak jak należy.

Choćby młoda gospodyni zasłaniała się stosem świadectw odbytych studyów, choćby miała patent na uzdolnienie do tej lub owej pracy zawodowej, nic to wszystko nie pomoże, jeśli jej życie nie da najcenniejszego poświadczenia, iż będąc szafarką grosza przez męża na życie podanego, umiała roztropnie i rozważnie groszem tym kierować i będąc panią domu, umiała istotnie panować w niem przez pracę, a nie przez nudy.

Nie na tem zależy przygotowanie swej córki do spełniania przyszłych obowiązków, aby jej dać sutą, modną, wyprawę, ażeby meble dobrać w najlepszym tonie, ażeby wreszcie i jakąś kwotę posagową włożyć w początek gospodarstwa.

Jeżeli młoda gospodyni nie będzie rozumiała czem jest obowiązek codziennego obliczania grosza, kierowania zakupna, utrzymania ładu i porządku we wszystkiem, wtedy się rozchwieje rychło domu szczęście i życie będzie wcale kwaśne.

Praktyczność wychowania i wykształcenia córek naszych musi zająć wybitniejsze miejsce w programie nauk i kierunku nowego. Jeśli szkoły nie dadzą nic z tego, to niech domy żądają, ażeby więcej godzin zostawiano dzieciom naszym na to, iżby mogły uczyć się w domu. Jeśli szkoły chcą zabierać wszystek czas dzieci dla siebie, niechże z krainy formułek i dat pamięciowych przejdą w świat istotnej, praktycznej nauki.



Z galeryi typòw i piękności.

Rysował J. DROŻDŻEŃSKI.

Jedzenie ziemi.

Zdarza się spotkać dziecko, chciwie połykające ziemię lub piasek, ale niejednemu z czytelników może niewiadomo, że pewne ludy stale jadają różne gatunki ziemi, choć analiza naukowa dowiodła, że ziemia wogóle niema żadnej wartości pożywnej.

Pierwszy Aleksander Humboldt zauważył, że lud zamieszkujący brzegi rzeki Orinoko jada glinę w wielkiej ilości. Zwrócona w ten sposób uwaga świata naukowego dała pochop do zajęcia się badaniem tego zwyczaju i wyjaśnienia jego przyczyn, a wyniki tych prac i spostrzeżeń tu grupujemy.

Najpierw więc, jak powiedziano wyżej, zwróciło uwagę uczonego Humboldta plemię Oto-

maków, zamieszkałe w Ameryce południowej, które w porze deszczowej nieomal wyłącznie żywi się delikatną gliną garncarską, barwy szarożółtej, zabarwionej tlenkiem żelaza. W czasie suszy plemię to żywi się rybami, których ma poddostatkiem, nadeser jednakże spożywa zawsze nieco ziemi, jako przysmak. Kilka pokrewnych Otomakom plemion koczujących również używa ziemi na pokarm. Jedno z nich jada glinę pieczoną w oleju; zauważyć jednak wypada, że ci, którzy zbyt zasmakowali w tej potrawie, chudną i posiadają cerę bardzo bladą. Nie sądzimy jednakże, aby ziemię na pokarm używano z potrzeby, — nie, stanowi ona przysmak, za którym niektórzy krajowcy przepadają. Odrywają oni kawałki gliny od ścian domów i chciwie zjadają. Są też pomiędzy nimi i smakosze: twierdzą oni, że nie wszystkie gatunki są równie smaczne i umieją gatunki smakiem odróżnić.

Kobiety zajęte wyrabianiem garnków z gliny, chętnie jadają ten materyał. Krajowcy z nad Rio Magdalena jedzą glinę tłustą, czerwonawą, zawierające w sobie przegniłe cząstki roślin. Indyanie ze szczepu Ruyense z Guyany brazylijskiej i francuskiej, używają na pokarm gałek glinianych, w dymie suszonych; w miarę potrzeby skrobią te gałki i spożywają jako przysmak.

Na Pomorzu, w czasie wojny trzydziestoletniej, mieszano ziemię do chleba, a to samo czyniono później w Dessau i Łużycach. Ziemię tę nazywano mąką górską, a jest ona tak miałka, że nie trzeszczy pomiędzy zębami. Ziemia ta jest właściwie proszkiem ze skorup wymoczków.

Robotnicy w Francensbergu, w okolicach Lüneburga i kopalniach piaskowca góry Kyts-Ränser, smarują chleb, tak zwanem „masłem kamiennem“, które jest gliną delikatną.

Ową mąkę górską, o której wspomniano wyżej, Lapończycy sprowadzają z Niemiec wagonami i mięszają z mąką przy wypiekaniu chleba. Finlandczycy również jedzą chleb pieczony z mąki, mieszanej z ziemią z wymoczków. Na półwyspie Kolskim krajowcy zaspakajają głód ziemią, która jest sproszkowaną miką, nieposiadającą żadnej wartości pożywnej. We Włoszech koło Treviso i w Styryi mieszkańcy jadają glinę tłustą, chwaląc jej smak i przypisując znaczną wartość pożywną.

Na targach w Sardynii spotykamy placki, pieczone z gliny, jako przysmak chętnie nabywany.

Murzyni w Gwinei jedzą ziemię żółtawą, a wzięci do niewoli, skwapliwie poszukują wszędzie tego przysmaku, zwanego przez nich „Caonac“. Murzyni w Senegambii posiadają w niektórych miejscach ziemię mydlastą, tłustą i miękką, a używają jej do zaprawy ryżu. W Kamerunie, jako środek przeciw chorobom żołądka, używają gałek z ziemi czerwonej, pieczonych w ogniu.

W bazarach miast perskich spotykamy różne gatunki ziemi, sprzedawane jako przysmak, a szczególniej cieszy się powodzeniem w handlu glina porcelanowa z Mahallat. Na archipelagu Malajskim w każdym sklepie dostać można ziemi w różnych gatunkach, z których za najlepszy jest uważany „ampoh“. Mieszkańcy Jawy jedzą ziemię pieczoną, a Dajakowie — suszoną na słońcu. W Surabaga wyrabiają z ziemi „ciastka“, które przed upieczeniem maczają w słonej wodzie. Na chorobę „beriberi“ panującą na Jawie, mieszkańcy uważają jako środek najskuteczniejszy — jedzenie ziemi. Na wyspie Borneo, w kopalniach węgla kamiennego, robotnicy jedzą rodzaj łupku węglowego, glinę z domieszką krzemionki. Surogat ten jednak, jak dowiodła analiza, jest stanowczo zdrowiu szkodliwy, to też robotnicy ci mają wygląd melancholików, są wychudzeni, cierpią na zapalenie ócz i wcześnie umierają.

Tunguzi, Czukczy i Kamczadale jedzą delikatną glinę szlamowaną, która ma wygląd śmietany, a smak wcale niezły, choć nieco cierpki. Glina ta jest galaretowatą pozostałością skały trachitowej. W Chinach kobiety jedzą glinę, aby mieć bladą cerę, to też na targach tamtejszych spotkać można wielu handlujących ziemią. Na Jesso zamieszkali Ainosi jedzą ziemię zmieszaną z korzeniami roślin i ziołami.

Na Nowej Gwinei Papuasi rozkoszują się smakiem ziemi jadalnej, sprzedawanej w postaci placków, z dziurką w środku. Analiza chemiczna znalazła w tym przysmaku magnezyę, tlenek żelaza, glinę, kwas krzemowy, wapno i kwas fosforowy. Mieszkańcy nowej Zelandyi jadali dawniej szlam. wyrzucany przez wulkany i białą glinę alkaliczną, mogącą służyć jednocześnie za mydło Na Nowej Kaledonii Kanacy zaspakajali głód zielonym steatytem, zawierającym w sobie sporo miedzi. W czasie głodu dawni krajowcy Taiti jadali pewien gatunek ziemi czerwonej. Dzikie ludy z Florydy i pająki, jaszczurki i węże jadają, z przyprawą pewnego gatunku tłustej ziemi.

W miastach amerykańskich na targach sprzedają pastylki z lekko wypalonej ziemi gliniastej; pastylki te są przysmakiem dla krajowców. Indyanie w Guatemali do potraw używają wielce cenionej ziemi, składającej się z popiołów wulkanicznych. Na Martynice w r. 1751 niewolnikom potajemnie sprzedawano ulubioną przez nich ziemię

żółtą i czerwoną. Plemię Karibów leczy dzieci ziemią jadalną. W Kolumbii dawniej na targach sprzedawano ziemię wapienną, którą jedzono z liśćmi koki.

Żydówki kaukazkie, kobiety z Damaszku, Persyi, Indyi, Mongolii, w Syamie, w Afryce, w Guatemalu, będąc w stanie ciężarnym jadają ziemię. Wiele zaś ludów jada ziemię jako obrzęd religijny lub jako środek leczniczy.

Jedzenie jednak ziemi, chociaż tak rozpowszechnione wśród ludów mniej cywilizowanych, wywołuje zawsze pewne choroby, kończące się śmiercią. Wogóle jako cechy charakterystyczne ludów tych zauważono: ogólne wycieńczenie, brzuch obwisły, obrzmienie śledziony i wątroby, a nadto zawsze objawy cierpień moralnych i nostalgia.

J.

Gorzej czy lepiej?

Ludzie są przekonani, że na świecie jest teraz gorzej niż niegdyś i znacznie gorzej. Przeświadczenie to żywią zarówno ludzie prości, jak wykształceni. Wszystko jest gorzej: ludzie są niżsi i słabsi i mniej uczciwi; i powietrze zimniejsze i życie krótsze, pieniędzy mniej i chorób więcej.

A jednak to nieprawda. Spokojne a głębsze badanie wszystkim tym twierdzeniom zaprzecza stanowczo. Cywilizacya ma złe strony, ale ma więcej dobrych i podnosi ona człowieka pod każdym względem, doskonali jego umysł, uszlachetnia serce (mówimy o cywilizacyi — a nie o kulturze pruskiej!!) i lepiej zaspakaja potrzeby materyalne. Nie będziemy tu dotykać stron innych, weźmiemy tylko zdrowie i długowieczność człowieka.

Mówią często, że dziś ludzie żyją gorączkowo, że przeszłość nie znała i nie mogła znać takiego zdenerwowania, jakiemu podlegamy dziś — w epoce pary i telegrafów. Tymczasem ani koleje żelazne, ani telegrafy nie mogą mieć wielkiego wpływu na nerwy.

Dlaczegożby go mieć miały? Czy dlatego, że się o dzień lub o tydzień prędzej dowiadujemy o wstrząsających wypadkach, dotyczących spraw prywatnych i publicznych? Oczywiście, że nie — opóźnienie wiadomości nie zmienia jej wpływu, nie zmienia wrażenia. Przeciwnie, skraca się czas drażniącego oczekiwania. Oprócz tego, pośpieszna wiadomość pozwala nieraz złe usunąć lub je złagodzić.

A jednocześnie zniknęło z życia bardzo wiele warunków, które dawniej szarpały nerwy i życie skracały. Dziś się w każdym kraju zdarzy jakaś kradzież lub rozbój; dawniej nigdzie nie było bezpiecznej drogi: tu czyhali rabusie zwyczajni, tam jakiś rycerz-rozbójnik grabił kupców, gdzieindziej wilki zjadały ludzi. Przejazd od wioski do wioski groził utratą życia lub mienia.

Wszystkie niebezpieczeństwa były straszniejsze: powodzie, pożary, choroby, nieurodzaje, wojny zdarzały się częściej. Wysiłki i cierpienia ojców naszych nie minęły bez skutku: dziś jest nam lepiej, wygodniej i bezpieczniej. Żyjemy z kapitału, nagromadzonego przez przeszłość.

Nie koniec na tem. W dawnych wiekach bat ekonomski wisiał nad plecami milionów w Europie całej. Miliony te pracowały ciężko od świtu do nocy i nie mogły zaspokoić najpilniejszych potrzeb własnych. O sprawiedliwość było wszędzie trudniej. Cześć niewieścia poddanki zależała od kaprysu.. I tak dalej i tak dalej.

A wewnątrz człowieka podniety grały też same, co dziś i z równą lub większą siłą. Spotykamy we wszystkich czasach potężne wybuchy ambicyi, i chciwość grasowała i mściwości nie brakowało. Czy wtedy mogło być zdenerwowanie mniejsze? Nie mogło i nie było. Takich też objawów powszechnego zdenerwowania, jakie się zdarzały w wiekach średnich i później, dziś nie znamy wcale.

Tylko dawniej choroby wieku nie znano i objawy nerwowe przypisywano innym przyczynom, inaczej nazywano choroby i chorych nie leczono. Spokojniejsze, pewniejsze warunki życia uspokoiły niewątpliwie nerwy ludzkie.

Co do innych warunków, to nikt przeczyć nie zechce, że one i na zdrowie wpływają dobroczynnie i życie przedłużają. Do tych przedewszystkiem należy spotęgowane i lepiej zorganizowane miłosierdzie. Dalej idą zdobycze hygieny, rozpowszechnienie wiadomości hygienicznych i urządzenia sanitarne, jak: wentylacye sal, kanalizacye, dezynfekcye.

I medycyna postąpiła: dawniej leczyła tylko, dziś zapobiega chorobom, pobudowała przytułki, uzdrowiska itd. Dawniej wszystkie niemal dzieci wątłe marły, dziś wiele z nich hygiena i opieka społeczeństwa utrzymuje przy życiu i nieraz w ten sposób daje światu ludzi.

Niedawno dr. Camillo Bozzolo w Turynie zwrócił uwagę, że we Włoszech w ciągu lat dwu-

dziestu przeciętna długość życia ludzkiego wzrosła o lat 7. Chociaż ludność tego kraju wynosi o pięć milionów więcej, niż w r. 1872, ilość śmierci mniejsza jest o 172 wypadków. Włochy nie przodują cywilizacyi, przeciwnie, pod wieloma względami zostały one zdala za innymi krajami, szczególniej przepisy czystości nie są tam w wielkim szacunku. To też wśród innych narodów tryumfy cywilizacyi ujawniają się w większych o wiele cyfrach:

Choroba i śmierć — to jedno z najgłówniejszych źródeł cierpienia ludzkiego. Gdy ich siła słabnie, szczęście ludzkie wzrasta. *S. S.*

Zagadki z nagrodami.

Zagadka 1.

Trzecie i pierwsze żyje tylko w wodzie,
Wesoło pluska o wieczornym chłodzie:
Drugie i trzecie wije się drogami,
W porze deszczowej wżłobi się kołami.
Całość nazwisko książęcego rodu,
Przed laty dzielnych panów Siedmiogrodu;
Z nich jeden godnie polskie dzierżył berło,
I czyny dowiódł, że był królem-perłą.

Zagadka 2.

Pierwsze, czwarte człowiek, co serce nie czułe,
Ale za to pełną ma zawsze szkatułę;
Nie zna miłosierdzia i z głodu sam więdnie,
Żyje bowiem ciągle nad miarę oszczędnie.
Drugie, trzecie wrzody i rany wytwarza,
Plastrów się domaga lub ręki lekarza,
Całość ptak niemały i nieladajaki,
Kruche jego mięso — zaprawdę przysmaki —
Znane u nas dobrze i po całym świecie;
Psami nań polują i łowią też w siecie.

Zagadka 3 (rachunkowa).

Leciało stado ptaków nad lasem, usiadło po dwa na każdem drzewie, a jedno drzewo zostało się; gdy usiadły po jednemu, to dla jednego ptaka zabrakło drzewa. Ile było ptaków, a ile drzew?

Zagadka 4 (rachunkowa).

Jeden pasterz rzekł do drugiego:
— Daj mi jednę owcę, a będę miał tyle co i ty.
Drugi na to:
— Daj ty mnie jedną, to będę miał dwa razy tyle co ty.
Po ile owiec mieli pasterze?

Za trafne rozwiązanie *wszystkich* zagadek wyznacza Redakcya „Tygodnika Narodowego“ 6 nagród i to:

Dla całorocznych prenumeratorów „Tygodnika Narodowego“:

I. nagroda: **„Dzieje Polski“** *Baczyńskiego* Dzieło wspaniale wydane z kilkaset pięknymi także kolorowemi ilustracyami w prześlicznej oprawie. Cena księgarska 16 koron.

II. nagroda: *Lucyana Rydla* **„Królowa Jadwiga“** z przeszło 100 rycinami czarnemi i kolorowemi w pięknej oprawie. Cena abonamentowa 18 koron.

III. nagroda: **Album jubileuszowe „Grunwald“,** 336 stron druku i stokilkadziesiąt obrazków w bogatej oprawie. Cena księgarska 12 koron.

Dla kwartalnych abonentów „Tygodnika Narodowego“:

II. nagroda: **Album Jubileuszowe „Grunwald“.**

II. nagroda: **Poezye Juliusza Słowackiego,** 4 tomy w 2 pięknych oprawach. Wydanie Miarki.

III. nagroda: **Album Wojska Polskiego** z r. 1830/31 z kolorowemi ilustracyami.

Rozwiązania nadsyłać należy do 15 Stycznia na ręce redakcyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (róg Rynku). W drugiej połowie Stycznia nastąpi losowanie nagród.

Nazwiska wszystkich abonentów, którzy trafnie rozwiążą zagadki, oraz tych, którym przypadnie nagroda, ogłosimy w „Tygodniku Narodowym“.

O nagrodę ubiegać się mogą tylko abonenci „Tygodnika Narododowego“. Na dowód prosimy załączyć kwit, jaki wydaje poczta, wysyłającym przekaz pieniężny do Administracyi.

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“. — Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński.

NR 1

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

KSIĘGA I.

1771.

Stary dwór — stary dwór — kto pamięta to gniazdo orle, które się dawniej zwało szlacheckim dworem polskim, z którego źli ludzie i złe duchy uczyniły nierządu gniazdo i plamę na białej szacie męczennicy?

W sen to przeszło, w ideał, w powieść, którą u komina stary dziaduś opowiada, a wnuczęta zasłuchane dumają, w duszy myśląc, że im może bajkę prawi.

Przecież nie bajką jest jasna przeszłość, która w oczach naszych powoli konając, umarła.

I wieczny jej spoczynek w grobie laurami i palmami obwieszonym — choćby go szatani i karły błotem obrzucać mieli.

Kto pamięta ów stary dwór i owych starych ludzi, co chodzili w żelazie, a karmili się chlebem razowym i nie pili jeno wodę? A mieli oręże, które ludzi płatały na pół i pokorę, co ich nad anioły wywyższała.

Przeciwko temu gniazdu orlemu posadził szatan na ziemi naszej gniazdo papuzie i klatki ptastwa o kraśnych piórach ze szczebiotaniem swawolnem. Orle gniazdo opustoszało... a papugi ogłosiły się dziedzicami orląt i poszły żebrać przyjaźni ze wszystkiem ptastwem plugawem, aby jeno spokojnie żyły.

Orle pióra krwią zbroczone zwalały się po rozstajach i naśmiewano się im, a w pośmiewisku stały się relikwiami i czyniły a czynią cuda. Bo do nich przylgła cnota stara.

Wy — znacie tylko z przeszłości Polski jej grzechy i zmazy, a oczy wasze krecie nie mogą dopełnić jej wielkości.

I dziejopisarze wasi są malarzami brodawek na obliczu matki, a nie natchnionymi jej syny, co obraz odmłodzony, dziewiczy noszą na piersi dziecięcej.

Kto zna tę jasną przeszłość naszą? Śmieją się szydersko, ukazując poszarpaną jej podszewkę — nie była ona nigdy szatą — a szatą tkaną była z purpury i złota... z męczeństwa i cnoty.

Od najlepszych czasów — plemie bohaterów co chodzili w żelazie i na wskroś zżeleźnieli, trwało aż do czasów najgorszych, dożyło do progu dni naszych.

W progu dopiero skonał ostatni, rozdarłszy sam pierś, której kule nie chciały. A pogrzebiono go szyderstwami i potwarzą.

Pasmo wielkich mężów od Bolesławów ciągnęło się aż do panowania niemieckiego, które spoiło naród na heloty i wydało go w ręce moskiewskie, nim się wytrzeźwił.

Nie było przerwy nigdy aż do dni ostatnich, ale było zaćmienie oczów krecich, które nic widzieć nie chciały i nie mogły.

Zdało się jakoby cnota zmalała, a żyła pokryta żałobą i zawstydzona — i w grobie żyje, aby z niego powstała.

Nie umarła też wieść o mężach ze cnoty i stali, choć wnuki, jako dzieci Egiptu, do ojców wielkich przyznać się nie śmieją patrząc na gmachy przez nich wzniesione i zapierają się dziadowskiej wielkości — mówiąc — to duchy wzniosły. Duchy olbrzymów siedzą u Bolesławowego stoła w pieczarze — i czekają słońca, aby zeń wyszły — na świat lepszy.

A dziś omroczonej ziemi panują pigmeje i papugi, więc nie czas... Jutro! Jutro jest wielkie jak siła Boża, jutro jest wszechmocne, a kto nie wierzy w jutro, ten w Boga nie wierzy.

Patrzcie no, oto tam na dolinie wśród pagórków i lasów otulony, posępny jak klasztór, krzyżami obłogosławiony jak świątynia, śpi stary dwór szlachecki, co najdawniejsze dzieje pamięta.

Wzniósł on się na gruzach grodu i rozzieleniał sadami na wałach i po za wały; a do koła przytulił do siebie sioła i wsie i osady, aby im ojcowsko przewodził.

Inne to były czasy — tak — inne — aby zrozumieć je, Boga mieć w sercu potrzeba, nie ludzką rachubę. Tam wszystko było na cnotę obliczone, na wiarę, na poczciwość, na ludzi wielkich rozmiarów. Oddawała im ojczyzna w ręce drugich ludzi, bo wiedziała, że przycisną ich do serca jako braci — i prawa mogło wówczas nie być, bo była cnota.

Stało ono wypisane w niebiosach nie w księgach.

Gdy zabrakło cnoty, co spajała, budowa nie związana runąć musiała.

A nie prawa złe były — ale ludzie do nich nie dorośli. Maleli, maleli, aż z posłańców Bożych stali się kupcami potu ludzkiego i ojczyznę sprzedali dla piór papuzich i dla sybaryckiego spokoju.

Do koła tylko stare drzewa szumią, stare góry się przysłuchują, a młode potoki lecą marząc o przyszłości.

W pośrodku dwór rozległ się szeroko, dostatnio i pańsko.

A jako po zakonie Bożym zbudowany wzniósł sobie świątyńkę po prawicy, krzyż nad czołem i krzyż z lewicy, aby Boga pamiętał.

Cichy wieczór młodej, chłodnej, ale wypogodzonej wiosny zstępuje na ubłogosławione gniazdo z wonią świeżo poruszonej roli i rozmarzłej ziemi.

Wśród tej ciszy wieczora słychać tylko jakby modlitewne głosy ludzi i zwierząt w jeden chór zlane, na chwałę Tego, który Jest.

Długa ulica lip pogarbionych, rozpuszczających gałęzie szeroko, sunie się czarnemi słupy od lasu do dworu.

W ulicy to krzyż czarny, to św. Jan w kapliczce ukryty, to Matka Bolesna na słupie, to Chrystus w cierniowej koronie siedzący.

Zbliżasz się jakby stacyjnym gościńcem do kościoła.

Kościółcito ten dwór szlachecki, bo się w nim życiem modlono od kolebki do trumny, gotując dobrze umierać.

Idącemu tą ulicą musiało serce poważnieć, bo czuł, że się przybliżał do tego przybytku w którym hodowały się orlęta, Bogu poświęcone.

Na pagórku wśród szerokiego podwórca, za bramą z obrazem Matki Boskiej, stał ów dwór o kamiennych stopach z drewnianych bierwion, z dachem wysokim, gdyby szyszak na głowie.

A wszedłszy weń naprzód spotkałeś sień w którejby się i sto ludzi pomieścić mogło — i komin gościnny co ich ogrzewał.

Ale tu już stąpać potrzeba było cicho. Od progu poczynała się klauzura dworu i karność jego. Ludzie, którzy tu wchodzili, szli z mniszą pokorą, w milczeniu, choć z usty uśmiechniętemi i sercem rozradowanem.

Więcej siwych głów niż silnych bark, bo te w pole ciągnęły, a siwizna stała na straży z niewiastami u domowego ogniska.

Wnijdźmy więc od proga dalej a patrzmy.

Na prawo stołowa izba — ściany w płótna odziane, a z nich twarze patrzą marsowe, surowe, ascetów - rycerzy. Na zbrojach krzyże, w ręku różańce.

Ta niewiasta włosiennicę nosiła wiek cały; owa lilia biała ślubowała się ubogim, więźniom i zapowietrzonym; ten młodzian padł od Tatara, ów poległ w Moskwie, inny od niemieckiej kuli;

tego męża na haku powiesiwszy Turcy, strzelali do konającego przez trzy dni.

Tamtego niewierny poganin ściął, bo za niego okupu nie mógł wziąść jakiego chciał, owemu Moskwa serce wydarła... trzeci zmarł gnijąc w murach niemieckiej turmy...

Patrząc na nich czytasz dzieje rodziny ofiarnej, i wiesz czemu ona siedzi dziś we dworze drewnianym, a nie na senatorskich krzesłach, gdzie szczebiocą papugi.

Szereg to niegłośnych męczenników, poemat to ofiar od Bolesławowskich czasów; w spadku wzięty obowiązek śmierci za ojczyznę. Ginęli wszyscy, a ostatni by ich być godnym, tak zginąć pragnął, jak chcą żyć drudzy.

A nie byli to ludzie o których szeroko piszą dzieje — wiedział o nich ledwie kronikarz domowy, co wieczne odpocznienie spisał dla kapelana, grabarz cmentarny, sąsiad o milę trochę — dalej nikt. Któżby się wówczas chlubił, że umiał umierać, gdy żyć daremnie wstyd było?

W domu cicho mówiono o bohaterach, ze wstydliwością, aby nie posądzano ich, że dla chwały ludzkiej nie dla imienia Bożego poumierali.

Szło w grób ciało, duch do niebios z palmą, a na ziemi błyszczały łzy rodziny tylko.

Od pomorskich walk za Bolesławów, od Łokietkowych zapasów, jeden w drugiego ginęli syn po ojcu.

I była tradycya u ogniska, że ojczyzna boleć zacznie, gdy oni w łożach umierać będą, nie na koniu i na błoniu, z krzyżem na piersi a szablą w dłoni.

Ale w ostatku już ginąć za ojczyznę nie było gdzie; papugi co rej wodziły, pobratały się ze wszystkimi, do orłów tylko własna krew strzelała na spokojnych obradach w kościele.

Trzy pokolenia na raz czekały dzwonu, wici, hasła, siedząc we dworze na Skale.

Skałą zwał się dwór Plutów.

Plutowie wyszli byli niegdyś z ziemi Wiskiej na Mazurach, tego rozsadnika, który szlacheckiemi członkami całą Polskę obsadzał — ale z dawna już zasiedzieli w Krakowskiem i tu dogorywali.

Chodziło to w żelazie póki mogło, a w żałobie po nim gdy go nie stało. Ich powołaniem było walczyć i umierać za kraj; po to się rodzili. Wiedziała każda matka biorąc niemowlę do piersi, że męczennikowi życie dała, i chowała je tak, aby cierpieć umiał.

Nie karmiono orłów słodyczami a ciszą, ale karmią twardą i cierpieniem ostrem jak w Lacedemonie, a gdy dziecię rozumiało słowa, uczyło się pogrobowych legend dziadowskich.

Osnuwały one kolebkę i jak mleko lwicy przepajały dzieci. Nawet niewiasty ich, gdy zapłakać chciały, szły ze łzami tam, gdzieby je Bóg tylko widział, bo mięknąć nie było im wolno, aby synów nie zmiękczyć.

Byli to polscy rycerze zakonni, tacy jako za prastarych czasów.

Trzy pokolenia żyły w Skale. Najstarszym był dziad Pluta... niegdyś dzielny pułkownik, który stękał, że umrzeć nie potrafił, a wstydził się oblicza ojców, iż żył starcem. Miał lat osiemdziesiąt i kilka; przyszedł na świat za owych to czasów, gdy Sobieskiego Pan Bóg posłał pokazać światu, jak to się biją dla imienia jego — na to, aby ocaleni wyśmiewali ofiarę.

Stary był głową domu, a imie mu było Adam, jako ojcu rodzaju ludzkiego.

Choć do całego wieku nie wiele mu zostawało, miał siłę hartowną niezardzewiałej stali. Tylko siwa, ogromna do pasa broda i łysa jak kość słoniowa czaszka świadczyły, że wieku dożywał.

Gdy siedział pułkownik Adam, to mu się ramiona gięły i malał, ale gdy się podniósł, a rozprostował — olbrzymem był jeszcze i gdy w ręku żelazo ścisnął, pękało.

Nie siły mu brakło, ale ochoty do życia.

Żonę postradał był dawno, a z syna żołnierza uczynić nie mógł. Za młodu jeszcze chłopczyna dosiadłszy swawolnego konia, obalił się z nim i nogę zgruchotał. Źle leczony na całe życie kaleką z krótszą jedną pozostał, i chodził o kiju. Więc mu już przyszło dziesięciu pokoleń rycerskich potomkowi być hreczkosiejem i domatorem. A czuł to ojciec i on sam, iż w tem było znamię kary Bożej, jakoby mu rzekł Pan: nie chcę was i waszej ofiary, a służyć wam sobie nie dam.

I na całe życie smutek osiadł na twarzy Jakuba. — Oblicze też Adama rzadko się uśmiechało, choć pogodą jaśniało zawsze.

Gdy go obcy raz spytał, wygnańca chwilowego, coby był za jeden. — Miles christianus sum odrzekł. W tem było wszystko.

Za ową salą, w której biesiad wstrzemięźliwości strzegły wspomnienia mężów wielkiej cnoty była izba dziada. Okna jej wychodziły na ogród, przez drzew konary widać było kaplicę, tak, że gdy się jej drzwi otwarły, ołtarz widział i mszą, a gdy czasem chodzić nie mógł — bo go nogi naprzód opuściły (jako to zwykła w Polsce śmierć brać ludzi od nóg poczynając, znać, że za barki nie mogła) — słuchał mszy świętej z krzesła

i klęcznika u okna. Zaglądał tu kościół bo też to cela była rycerska, ta izba dziadowska.

Na stole przed nim zawsze dwie księgi, Pismo święte i Plutarch.. Księgi pobożne i starożytne dzieje... W pośrodku stał krzyż a na nim wisiał różaniec, który niegdyś bywał u pasa przy zbroi, różaniec z oliwek ogrójcowych..

W rogu anachorety łoże, skóra łosiowa, poduszka sianem wypchana, siennik nadziany słomą; nad niem Chrystus, palma, ryngraf z Matką Boską, kawał zbroi z krzyżem, szabel dwie na krzyż i strzelba...

Naprzeciw łoża wizerunek kobiety w szacie czarnej, w kwefie białym, z książką, z różańcem i kwiatami w dłoni...

Była to ta święta co mu syna dała, którą on kochał w grobie tyle co za życia, która mu żyła zawsze, choć od lat wielu umarła. Była to jego panna, tak ją zwał, z czystą bowiem dziewiczą duszą poszła na śmierć.

Dalej na ścianach obraz króla Jana III., wizerunek hetmański i święte sprawy...

Pod piecem kaflowym stała okryta ława — więcej nie było nic.

W oknie otwartem ku wiosennemu powietrzu siedział stary i dumał, księgę trzymał otwartą a nie czytał, myśl go odbiegła, a ręka silna się trzęsła, bo jej już silniejsza nad nią wola nie trzymała.

To było z jednej domu strony, z drugiej mieszkał syn i synowa i kobiety. Tam się chroniło życie powszednie dworu, które gwarzyć musi i śmiać się musi.

Jakub nie mogąc być żołnierzem, gospodarzył po żołniersku, ale też z sercem rycerskiem. Ilekroć na szablę a na konia spojrzał to wzdychał, o kiju chodzić zmuszony, zmuszony siać i zbierać... a prowadzić żywot włódarski. —

Gdy siedział pan Jakub niemal tak wyglądał jak ojciec, tylko młodszy, posępniejszy. Truło go to życie ekonomskie, czuł dopust Boży w tem co go bogaciło.

Dwie izby, pańska i jejmościna stykały się z sobą. W drugiej stały małżeńskie łoża pod kotarą i krośna, a na stole pobożne księgi.

Obok jejmości, pod jej bokiem chowały się dziewczęta ubogie, dalej była izba sług, apteczka, śpiżarnie i czego potrzebuje dwór wiejski.

Jakub miał jednego tylko syna; tego już i dziad i on tak karmili aby dług zapłacił za obu, za jednego, że umrzeć nie mógł na polu bitwy, za drugiego że konia nie dosiadł. —

Ale go chcieli mieć dojrzałym, silnym, niżby mu dali błogosławieństwo na bój — i czekali a poili i karmili szpikiem swym. Matka pobożnością, dziad Plutarchem, ojciec pracą i trudem, domownicy przodków przykładami. —

Chłopiec chował się w domu długo, ale wiedział ojciec, że młodemu ława szkólna, to pierwszy życia wzór i próba. Dali go wraz z ubogim chłopakiem sierotą do szkół, tylko patrząc jak to rosło.

A rosło krzepko i bujno i gorące a niecierpliwe, ale posłuszne, karne, pobożne i zacne... dobra krew. —

Rosło to na żołnierza chrześciańskiego jak dziad — silne, krew z mlekiem na twarzy, w sercu ogień i żelazo.

Czasem dziad dawał mu do łamania podkowę i milczał gdy ją skruszył bez zaczerwienienia i wysiłku; czasem ojciec dawał mu chłód i głód do przetrwania słuchając, czy się nie poskarży — a gdy milczał był rad, ale nie pochwalił.

Czasem i pani matka postem morzyła lub pomęczyła modlitwą. — I byliby go uściskami zdusili z miłości wielkiej, gdyby tę miłość pokazać mogli.

Po staremu kochanie nawet w ryzie szło, aby od niego człowiek do zbytku się nie rozpieścił. — W sercu mieszkając skryta miłość ta rosła i silniejszą jeszcze była.

Cała się z nich składała rodzina — daleka tylko jejmościna krewniaczka, sierota na wychowanie wzięta, kwitła także w tym cieniu.

Imię jej było Ewusia, lat poczynała szesnaście, a wychowano ją w bojaźni Bożej, i niewinności duszy i pokoju serca, na niepewne losy, na życia próby — sierotkę.

Któreż dziewczę na polskim zagonie, gdy je rodzinne słońce ozłoci, miłość wyhoduje, pokój osłania, pięknem nie jest?

Ewusia też była piękną, ale zaledwo o tem wiedziała. Jejmość zaręczała jej że jest brzydką, dziaduś ją srodze musztrował, pan Jakub gderał choć kochał. Tylko oczy i rumieniec młodego Karolka, gdy powróciwszy ze szkół po dłuższem niewidzeniu spojrzał na nią, mogłyby jej były coś powiedzieć, ale dziewczę się zlękło i nie zrozumiało. —

Chowali się jak brat i siostra, nauczono ich żyć jak rodzeństwo, choć dobrze nikt nie wiedział jakie ich pokrewieństwo łączyło, i kto byli Ewusi rodzice, nawet jak się na dwór dostała i czy gdzie miała jeszcze rodzinę.

Ona sama nie pamiętała dzieciństwa, a przybrana jej matka unikała o tem rozmowy.

Ile razy Karol powracał do domu coraz ją piękniejszą zastawał; naostatek, naostatek zdała

mu się ze wszystkich kobiet na świecie najpiękniejszą.

Ale o tem nie śmiałby był powiedzieć nikomu; ze strachu aby się kto tego nie domyślił, nawet na nią nie patrzał, z bojaźni ażeby usta nie wypowiedziały czego nie chciał, nie mówił do niej, z trwogi ażeby nadto nie przylgnął, uciekał gdy ją zobaczył. Kiedy się przypadkiem zeszli, stali naprzeciw siebie jakby gniewni, a uchodzili coprędzej drżący.

Taką była rodzina, ale w polskim dworze stojącym gospodą brama się nie zamykała. Kryto stół do wieczerzy zostawiając zawsze miejsce wolne dla Bożego zesłańca; był zawsze kątek dla obcego, wszelakie też kalectwa szukały tu przytułku, a chore serca lekarstwa.

Więc gdzieżby dwór taki bez ewangielicznych gości mógł pozostać?

Było ich poddostatkiem w Skale. Nikt, nigdy tej Bożej czeladzi nie dał poznać, że była na łasce, w gościnie. Każdy biedny zwał się tu po staremu panem bratem, a co więcej, znajdował braterskie przyjęcie.

Był tam tedy stary rotmistrz Poremba, co o kiju się włócząc już tylko przeszłe życie opowiadać umiał, jak pacież jednakowo zawsze, tak że to co im mówił już wszyscy na pamięć umieli, przecież go ludzko, litościwie słuchali. Od lat piętnastu rotmistrz Poremba co wiosna wybierał się do krewnych na Ukrainę a nigdy odjechać nie mógł — chociaż nie zrzekał się wyjazdu, owszem tem gorliwiej się gotował, im mniej było prawdopodobieństwa, że wyruszy. I temu coś już było w nogi wlazło, nie przypuszczał wszakże iż to go śmierć pętała, aby łatwiej obalić.

Był i drugi garbus stary z długiemi rękami i ogromną głową, którego kalectwo litość wzbudzało, a złostki i żarty jeszcze nędzniejszym czyniły. Gdzieby go trzymano z tym spiczastym językiem, gdyby nie tu? Zwał się on komornikiem Krzywaczyńskim, liczył lat sześćdziesiąt, i jak tamten jechał ciągle, tak ten zawsze się miał żenić.

Uciułał był trochę grosza, ale jeszcze więcej żółci, której panny się gorzej obawiały niż jego garbu i szóstego krzyża.

Był naostatku gracyalista, wysłużony rządzca, którego Bóg pokarał pijaństwem, zresztą najlepszy człek ale nieuleczony bibuła. I tego więc przytulić było potrzeba, bo by go z tym nałogiem nikt nie trzymał. Jejmość go różnie leczyć próbowała od tej choroby, ale nic nie pomagało. Kubasiński wstrzymał się czasem jaki tydzień, ale go potem z karczmy przynoszono na rękach.

Po trzeźwemu był uśmiechnięty i najłagodniejszy z ludzi, ale gdy podpił, burdy wyrabiał straszne.

Była we dworze i stara panna, która lubiła kanarki i koty, jakby dowieść pragnęła że spragnione jej serce największe przeciwności razem pomieścić może; panna Kunegunda śpiewająca nawet teksty światowe z lepszych czasów a w kościele intonująca godzinki. Miała ona recepty na wszystko, chadzała po wsi gderząc a lecząc, nudząc ale wysługując się jako siostra miłosierdzia. Kunusia czasem nawet na Jejmość gderała... a zawsze była ze wszystkiego nie kontenta. Miała biedaczka przysłowie. — Otóż to jest!

Pomniejszego ludu kryjącego się w oficynach, na folwarkach, we dworach, wyliczyć trudno.

To też gdy w wielki post, w adwent, w wigilie, w święta i niedziele dzwonek na modlitwę zawołał do pokoju obszernego przed garderobą, gdzie na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ledwie się ta ciżba domowników do progu pomieścić mogła. Jejmość sama z księgą w ręku klęczała na przodzie, dalej sam się dwór po starszeństwie układał.

A choć nie było nikogo z gości w pospolite dnie do stołu, nakrywano więcej niż na dwadzieścia osób, i mało kiedy było miejsce puste, chyba gdy komornik bardzo zły nie przyszedł, naówczas mówiono, że go zęby bolą.

Dwór w Skale był jak klasztor, wiedział tu każdy co mu o jakiej godzinie czynić przystało karność była wielka, porządek przykładny, nikt go nie złamał przez lekceważenie.

Z panem Jakubem żartować było niebezpiecznie, a ze starym pułkownikiem kiedy dobry był, mówiący drżeli, gdy marsa nastawił, słów brakło na ustach. Nie żeby tak surowym był, bo się nigdy nie gniewał i nie fukał, ale karał milczeniem. Kogo on nie widział ten jakby już do dworu nie należał, nie miał tu co robić.

Jejmość też szanowano jak anioła opiekuna, przez nią szły sprawy, prośby i instancye, ona wiedziała kiedy miłosierne słowo wyrzec do męża i ojca. Chodziła biało, uśmiechała się jasno, i zwano ją białą panią po wsiach, bo się była od straty córki a narodzin syna skazała na tę jasną żałobę. Czarną być miała, ale męża i ojca oczom i sercu folgować musiała, bo ich kolor ten zasmucał.

Tak wyglądał ów dwór, orle gniazdo stare, ale wejrzawszy weń, ujrzałeś więcej dziwów i cudów, niżby się z razu po tem obliczu prostem spodziewać można. Nie było tu popisu z niczem; często najlepszego szukać głęboko i domyślać się musiano, bo się kryło. Tu i surowy post się chował i modlitwa taiła, i dobrodziejstwa skrywały; życie szło pomiędzy niemi a Bogiem w tajemnicy.

Znał te serca może — jeden spowiednik, co patrząc w głębie ich, płakał z wesela.

Na tym dworze wychował się Karolek, i przyszedł mu już czas może po ojcach wziąć szablę, na którą często poglądał porządliwie.

Dziaduś pokazywał mu ją na ścianie, ale trzeba było do niej i wzrostem i sercem dosięgnąć.

Szabla to była stara... z pokolenia na pokolenie przekazywana, prosta, szeroka, biała jak srebro. Był na niej z jednej strony promienisty krzyż, z drugiej — *Pro Deo et Patria*, staremi głoskami. Rękojeść czarna, pochwa skórzana, żadnej ozdoby, — za żaden skarb by jej był Pluta nie oddał.

Zwała się Saracenka.

Wiedziano o niej, że była pod Płowcami i Grunwaldem, że cudem z rąk konających na polach bitwy zawsze ją ktoś ocalił, że powracała, gdy ją już za zginioną mieli, jakby z wyznaczenia Bożego, do rąk dziedziców. Szanowano ją jak relikwią.

Z tem imieniem Saracenki w najstarszych testamentach zapisaną była. Głucho mówiono, że przyniósł ją antenat, co służył na wojnach krzyżowych. Jeno potem napis i krzyż dodano, aby pogańskie żelazo ku służbie Bożej ochrzcić.

Karolek miał lat dwadzieścia, serce mu do szabli i do konia drgało niecierpliwie. Czemu go nie wyprawiono pobłogosławiwszy, któż to wie? Coś tam dziad z ojcem szeptali, naradzali się, a chłopak czekał... a pytać nie było wolno, a prosić!?... któżby śmiał!

Karolek za zabawkę dosiadał dzikiego konia, siłę miał dziadowską, barki Adama, zręczność niezmierną, serce ogniste, ale naturę karną i oczy, co ciskały ogień i płomienie, i kąpały się też czasem we łzach mimowoli.

Serce mu w piersiach biło, jak młotem, ale milczeć umiał.

Złe przyszły czasy, nie dziw, że ojciec i dziad i matka jeszcze się wahali, komu i gdzie oddać dziecko.

Od czasu, jak na Batorych i Sobieskich tronie siadły pludry niemieckie, sprofanowany ów tron stał się wszelkich bezeceństw stolicą. To co nad krajem świecić miało, ssało go i wycieńczało.

Aż przyszło do tego, że karabiny moskiewskie osadziły na nim kochanka Carowej, dworaka i Francuza, co malować umiał, a cierpieć i rządzić nie umiał.

Była to już ostatnia klęska i ostatnia plaga Boża, co lalkę upudrowaną dawała rycerskiemu narodowi za króla.

Białe te ręce żelaza tknąć nie umiały, a z miękkiego gacha nie mógł rycerz wyrosnąć.

Więc ludzie poważni źle wróżyli, mówiąc po cichu: — Chyba Bóg!

Jedni go zwali Stolnikiem Litewskim, drudzy Soliterem, co ojczyzny wnętrzności wyparał, inni, jak pan Adam, Galantem Imperatorowej. Królem uznawali go ci tylko, co w sercu ojczyzny nie mieli, którą on za spokój i zgodę miał sprzedać; ze strachu moskiewskich posłów i z grzeczności dla Imperatorowej Jejmości.

Gdy przyszedł ten czas upokorzenia i upadku, że ów Piast na drwiny, posadzony był na stolicy, co było serc poczciwych, przeczuło, iż zbliża się uroczysta wieków godzina.

A choć weseliła się stolica, kraj przywdzia żałobę. Ale owe stare orle gniazdo wytępiły saskie łowy i pozmierała cnota bezpotomnie, a wielu ślepych i krótkowidzących ujęto strachem lub łaską.

I była Polska rozdzielona przez dzieci własne, nim ją rozszarpali oprawcy narodów; tak iż w niebezpieczeństwa godzinie na jedno serce co zaszło krwią, dziesięć uśpiły fortele i mamidła.

Nie mogła skrępowana macierz wstać cała, bo ją spoił i odebrał jej wprzód siły ten, co jej chciał niecny gwałt zadać.

Wziął jej naprzód tych, z których szli Hetmanowie i Kanclerze, owe ramiona i one głowy potężne, co jak słupy i sklepienia ojczyznę podpierały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POZNANY.

(Wspomnienie z r. 1863.)

Szli długo borem ciemnym.

Zapadali głęboko w śniegi, przebijali się przez zarośla, szukali jakiegokolwiek śladu ścieżki.

Zima huczała dziką muzyką wichrów. Śnieg spadał milionami białych, w zimne gwiazdy zmienionych łez — mróz palił policzki, ścinał palce u rąk i zesztywniał nogi.

Szli i szli... ani wiedząc, gdzie spoczną, ani marząc o tem, czyli ogrzać się będzie można.

Żadna wieś ich nie przytuli, żadna chata im wrót nie otworzy. Moskwa czycha i szuka, aby zgładzić, zdeptać, zdusić ostatni oddział litewsko-żmudzki, aby „znachora“, „buntownika“, tego księdza jak żelazo silnego ująć w swe ręce i zrobić raz koniec...

Dziewięć miesięcy bez wytchnienia trwali w walce, czuwaniu, odpieraniu wroga.

Bez wytchnienia, bez dachu, bez ciepłej strawy, bez odzienia chroniącego od wilgoci i chłodu.

Lecz teraz szukali schronienia. Głód ich gnał, zimno ich gnębiło, nocy długie, ciemne, mroźne nocy zimowe z lasu ich wywiodły.

Przyszli do przydrożnej karczemki.

Wielki, ciemy bór urywał się tu nagle i tworzył wzdłuż drogi wysoką ponurą ścianę.

Karczma śniegiem osypana, wichrami pochylona, wiekiem zapadła w ziemię, była prawie niewidoczna.

Weszli.

Ksiądz Maćkiewicz usiadł w kątku na ławie, przytulił do siebie najmłodsze pacholę, któremu łzy na obliczu zamarzały... inni kładli się na ziemię, jak w pół umarli... a u szyby karczemki dzwonił wicher jeszcze swe wołanie żałosne i bez echa szumu żegnanie swe rzucał.

— Musimy się rozejść, powiada ksiądz Maćkiewicz. Spocząć nam należy, broni nie złożymy przed wrogiem, tylko ją odłożymy na czas wytchnienia.

Siedmdziesiąt bitew stoczyliśmy, ani razu nie pisała na naszych czołach „trwoga“ swego znaku, ani razu nie pytało serce, gdzie troska o własne żcie, jeżeli idzie o życie Ojczyzny.

Teraz rozejść się musimy. Za tydzień Swięta Bożego Narodzenia. Niech każdy wróci do domu, niech u rodzinnych progów serce rozgrzeje, niech pocznie wierzyć nową siłą, iż błyśnie nam gwiazda jaśniejsza i nowe jutro wstanie z popiołów.

Żmujdzkie pachole przytulone do kolan wodza-kapłana, szepce błagalnie:

— Nie każ nam iść na spoczynek, gdy wróg w około; a Krajewski ranny i blady, powiada:

— Pójdziem posłuszni, aby na pierwszy odgłos wezwania znów stanąć.

— I ja pójdę do ojca mówi ksiądz Maćkiewicz, staruszek osiwiały, już dawno syna nie widział, kto wie, czy go pozna?... Jakżem ja inny dziś!... Ileż to ja dźwigam na sobie lat ciężkich i twardych, przeżytych w kilku miesiącach?... O... wierzcie mi towarzysze, zmęczonym bardzo. Powlokę się lasami, iść będę gąszczami do tej biednej zagrody ojca, aby żadne oko szpiega śladu mych nóg nie dostrzegło, aby żadne ucho nie usłyszało ruchu... powracającego syna. Czy pozna mnie ojciec?... Nadejdzie wieczór wigilii... światło w chacie błyśnie, pies zaszczeka u wrót... stanie ojciec siwy w progu i spyta: kto tam?

— Jazda! — woła w tej chwili Zdanowicz, który stał przy oknie karczemki. — Słyszę brzęk broni.

— Światła pogasić! — rzucił ktoś z powstańców rozkazem, i w jednej chwili w karczmie noc zupełna zapanowała.

To zgaszenie świateł zdradziło powstańców.

Oficer moskiewski jechał z 30 żołnierzami po kożuchy do miasta Nilki, kilka mil od Kowna. Przejeżdżał obok karczmy, a obaczywszy nagle zgaszone światła, kazał swoim stanąć.

Długą chwilę dobijał się do drzwi, napróżno wołając. Kazał przemocą otworzyć.

Karczmę zastał pustą.

— Przeszukać w koło!

Rozbiegli się sołdaci. W zmroku nocy, w zawiei śnieżnej, wśród szumu wichru długo szukali i śledzili, aż wreszcie ujrzeli w zaroślach jednego drugiego.. pojmali trzydziestu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ktoś ty?... pytają w Kownie uwięzionego Maćkiewicza.

Lecz on milczy.

Już pięć dni męczą go, badają, śledztwa prowadzą, lecz żadnej pewności nie mają, czyli to on rzeczywiście jest Maćkiewiczem, sławnym dowódcą oddziału.

Trzydziestu uwięzionych milczy także. Najmłodsze pachole żmujdzkie zaciska usta do krwi, gdy go katują, bo myślą iż to wpół dziecko najrychlej zdradzi tajemnice, lecz dziecko-bohater, mdlejąc w męczarni, ust nie otworzy.

— Wydać wyrok i powiesić, powiada generał, ale adjutant pyta w tej chwili:

— Gdy nie Maćkiewicz?

Co zrobić, aby mieć dowód jasny, iż mają w ręku jego, jego, na którego głowę jest wyznaczona nagroda 9000 rubli i order św. Włodzimierza.

— Sprowadzić ojca, niech on pozna, czyli to syn jego, ojciec niedaleko za Cytowianami, jeszcze żyje, wiem o tem. — Tak radzi ów oficer, który Maćkiewicza pojmał i który spodziewa się orderu św. Włodzimierza, a jeszcze cenniejszych nadto 9000 rubli.

— — — — — — — — — — — — — — —

Jest cichy wieczór wigilii Bożego Narodzenia.

Już kilka gwiazd zabłysło nad Kownem, już w kilku domkach światła migają, już jakaś majestatyczna powaga widna dookoła. Ani ruchu jezdnych, ani znaku pracy lub trudu. Wszystko ustaje w gonitwie o chleb, o byt, o sławę, o szczęście... wszystko z drogi usuwa się, ludzkie cele, zamiary, troski i trudy, nikną jak niewidzialną siłą zmiecione, a tylko jedno, jedyne ogarnia czucie świat cały, oto radość spływa z sfer błękitnych i głosi: Pokój ludziom dobrej woli!

Czemuż drogą do Kowna pędzą kozacy z nahajami wyciągniętymi? Czemuż raz po raz smagają starca, w pół żywego i wloką go szalonym ruchem, bezlitośnem katowaniem?

Wszak patrzcie!... To wieczór Święty... piekło na kolana pada, zbrodnia korzy się i kona.

Bóg zstępuje i niesie pokój ludziom, niesie zbawienie, niesie różczkę miłości, — czemuż wy starca wywlekli za siwe włosy z domu, czemu ślad drogi krwią i łzami jego znaczycie.. za co przeklinacie te oczy wpół ociemniałe... to serce wpół zamarłe?

On czekał na syna... on świetlicę umaił choiną, on stół kazał nakryć obrusem, on opłatki miał święcone w ręku i żył nadzieją szczęścia...

Mówili mu o jego synie wiele... przychodzili do niego nieznani, wielcy z daleka, całowali dłoń jego drżącą i powiadali: Cześć ci, żeś syna wychował na bohatera, cześć ci, iż syn twój Ojczyźnie służy.

I szła z lasów gęstych, z borów głuchych, z pól nadniemeńskich wieść jasna jak zorza, jako łan zboża bogata w radość i szczęście... przychodziła aż do wrót starych, stawała u progu chaty pochylonej i mówiła:

— Nie poznałbyś syna swego — bohatera! Większy nad wielkich, sławniejszy nad mężnych, wytrwalszy nad nieugiętych.

A teraz, gdy on miał przyjść na gody wigilii... gdy on miał stanąć u progu rodzinnej chaty, wyście starca powlekli?... Gdzie go ciągniecie?... Za co męczycie wpół zamarłe serce i przeklinacie oczy wpół ociemniałe?

Na podwórzu więziennem stać mu każą. Przyszedł generał, oficerowie, wiodą więźnia.

— Czy go znasz?

A starzec podniósłszy oczy — wyciąga ręce drżące, rzuca się na pierś więźnia i woła:

— Synu mój!

— Cha! cha!... — szatańskim śmiechem Moskwa się odzywa... — udała się sztuka... cha! cha!... bohater poznany i przez ojca wydany... Macież wigilię i opłatek, macież wasze gody radosne — śpiewajcie i kolędujcie... Ojciec nie skłamał, ojciec nie milczał jak pies przeklęty.. teraz wyrok gotowy!

Zrozumiał starzec co uczynił.

Pojął całą grozę tej chwili... zdradził... on... ojciec syna swego zdradził... Zachwiał się, pada, ksiądz Maćkiewicz chce podać rękę, sołdaci go wiodą do celi... a na podwórzu więziennem w Kownie leży martwe ciało wieśniaka potrącane przez sołdatów i bladem obliczem zwrócone ku niebu, na którem migocą gwiazdy.

Z Kowna płynie pieśń dzwonów kościelnych wołających na „Pasterkę“... z głębi kaźni więziennych słychać szept modlitw błagalnych... a u generała gra muzyka do tańca i brzęczą kielichy w ręku pijanych Moskali.

W trzy dni potem.. wywiedli księdza Maćkiewicza na plac stracenia pod szubienicę.

— Zdradź sprawę buntu, powiedz gdzie reszta rządu narodowego, otrzymasz życie.

— Ja — zrobiłem swoje — walczyłem, więcej niż nad walkę powiedzieć wam nie umiałem, gdy mi broń wyjęto — milczę.

Trzydziestu pojmanych stawiono pod szubienicę.

— Powiedzcie, gdzie reszta? otrzymacie nagrodę...

— Ilu w ojczyźnie żyje nie splugawionych waszym jadem — tylu jest pozostałych do walki.

Każdemu z tych 30-tu na ramieniu wypalono żelazem piętno.. i puszczono na wolność, iż gdy drugi raz schwyceni będą — zginą...

Księdza Maćkiewicza o godzinie 9-tej rano 28 grudnia 1863 roku powieszono.

Poznany przez ojca — zawisł na szubienicy, lecz gdy przez lud, ten wielki syn ludu zostanie poznany i zrozumiany, wtedy i imię Ojczyzny wymawiane będzie nie tylko usty, ale i czynami, wtedy promienna idea wolności rozświetli noc nad tą ziemią, na której w dnie Świąt pokoju wydawano wyroki śmierci i przy nucie kolędy wbijano słupy szubienic!... Biedna Ojczyzna Żmujdzina!...

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

Późnym wieczorem, jesienią r. 18.. wesołe gronko akademickiej berlińskiej młodzieży, bursze czystej wody, połowa z nich w charakterystycznych czapeczkach, które cudem zdawały się trzymać na głowach, z wstęgami na piersiach, w długich butach, cygara w ustach, włosy na ramiona w tył zarzucone... dla dystynkcyi połowa ich w okularach, podśpiewując Gaudeamus, ową odwieczną pieśń młodzieńczą, która nigdy nie starzeje — pobrawszy się pod ręce wracali czy szli — dokąd? sami nie wiedzieli może. Ale byli w złotych, w brylantowych humorach, które skrzydła przypinają do bark, dają odwagę i godzą ze światem. Wracali z komersu, na którym piwo było doskonałe, i wypili go obfitość wielką.

Butna to była młodzież, a między nią najtęższym Jan Fryderyk Riebe, przez towarzyszów zwany pieszczotliwie Hänschen.

Hänschen chociaż uczęszczał na wydział filozoficzny i przykładał się do nauk matematycznych, myślami po obłokach latał. Słuszny i barczysty, piękny, z włosami blond, z oczyma niebieskiemi, z miną pogardliwą i zarozumiałą, jak na potomka Arminiusza przystało, — miał wielką miłość u młodzieży może dla tego, że nią nielitościwie pomiatał. Szyderski, szorstki, nie przebaczający, umysłu żywego, pojętny, czuł swą wyższość nad towarzyszami i mocno im ją czuć dawał. Był on wyrocznią w swojej nacyi, a należał, jeśli się nie mylę, do Turyngii. Kolory jej nigdy z jego piersi nie schodziły, miał je na czapce, u kija który nosił, i przy fajce, jeśli fajkę palił. Ale ta już naówczas wychodziła z użycia, wisiała tylko na gwoździu nad łóżkiem obok rapira i innych godeł burszostwa.

Dochodzili podśpiewując do mostu i Szprewy. Kilku pożegnało się i rozsypało dążąc do domów.

Hänschen z dwoma towarzyszami szedł z podniesioną głową patrząc na wsze strony. Miał wielką ochotę zrobić jakieś głupstwo, zaczepić filistra i wywołać kłótnią, zarumienić jaką spokojną przechodzącą dziewczynę, wytłuc gdzie okno lub nastraszyć jakiego staruszka powracającego do domu. Taki trefny „Szpass" byłby mu bardzo do smaku, ale próżno szukał oczyma celu i niecierpliwy poprawiał czapeczkę złotem suto wyszywaną. Spotykali tylko wojskowych lub ludzi, którzy, zoczywszy z daleka burszów w dobrym humorze, unikali zetknięcia się z nimi.

A tu piwo i młodość dopominały się koniecznie jakiegoś wybryku.

Na brzegu brudnej Szprewy stało przyczepione lekko czółno bezpańskie.

Poruszająca się woda nadawała mu melancholijny ruch jakiś, kolysało się dziwnie jak kolebka dziecięcia, które usnęło, a matka jeszcze zwolna trąca je nogą, aby się robaczek nie ocknął.

Hänschen stanął i począł się czołnu przypatrywać.

— Słuchaj — odezwał się do idącego z nim małego, ospowatego, niepoczesnego adjutanta — umiesz ty pływać?

— Jakto? — zapytał drugi podnosząc oczy — pływać?? a no — zdaje mi się, że dotąd nie, ale matka natura, która uczy ryby tak, że od pierwszego dnia po urodzeniu już doskonale w wodzie wirują, musiała mi tę umiejętność w podarunku ofiarować, a jam jej nie użytkował tylko.

Trzeci rozśmiał się słysząc to.

Był otyły do zbytku, przysadzisty, mały, okulary miał na oczach wypukłych, policzki jakby wydęte, rumiane. Na szerokiej piersi wstęga burszowska wspaniale mu się rozwijała jak orderowa oznaka.

— Co ja — rzekł przez zęby szepleniąc — to z wodą żadnych nie mam stosunków i brzydzę się nią, nie piję nigdy — i marynarzem nie mam ochoty być wcale.

Ramionami wstrząsnął — Brr!!

— Mnie bo się zachciewa tę łódkę odczepić i użyć z wami przejażdżki wodnej. — Zrobilibyśmy podróż odkryć, — dokąd też ta paskudna Szprewa płynąć może??

— Słyszałem — odezwał się ospowaty, że wypływa z pewnej praczkarni, w której się pierze cała brudna bielizna pruska i brandenburgska, a ścieka tajemnemi drogami do studzien stołecznych, z których ją za źródlaną sprzedają.

— Dowcip ci się nie udał — rzekł Hänschen. Cóż ty mówisz, Frycu?

I odwrócił się do tłustego.

Tłusty śmiał się po cichu.

— Szprewa wypływa z piasku a wpada do błota — mruknął Fryc... Pływają po niej tylko wyrzucone ze śmieciska gałgany -— a i tym się trafia często osiąść na mieliznie.

— Przecież czółno stoi, ktoś pływać musi, — czemubyśmy po ojczystej rzeki falach przejechać się nie mieli.

I zawrócił się ku rzece.

Towarzysze wzięli to zrazu za żart, ale Hänschen szedł szybkim ku czółnu krokiem.

— A ty umiesz pływać? — zapytał ospowaty.

— Gdybym pływać, robić wiosłem albo kierować czółnem umiał — odparł żywo bohater — nie byłoby w tem nic osobliwego, żebym was na czółno zapraszał. Sztuka jest w tem, że żaden z nas pływać nie umie, żaden wiosłem nie robił w życiu, a jednak opanujemy statek, zdobędziemy go i w tryumfie puścim się na odkrycie ziem nieznanych, nucąc chórem pieśń studencką.

To mówiąc zbiegł już w dół, sznurek na haku zadzierzgnięty odczepił i w środek lichego czółenka skoczył tak silnie, iż zadrżało pod nim, i potrzebował całej zręczności swej i siły, aby się na nogach utrzymać. Dwaj towarzysze stali na brzegu niepewni, co poczną, spoglądając na siebie. Nie chcieli mniej okazać odwagi i fantazyi a zimnej kąpieli nie życzyli sobie obaj.

— Kto mój przyjaciel, za mną!

Fryc, widzę tam leży drąg, który posłuży nam za wiosło — daj mi go tu!

Z wielką trudnością tłusty Fryc podjął leżący obłocony drąg i unosząc go do góry podsunął Riebemu — sam jednak do czółna się nie spieszył. Ospowaty wejrzeniem rozkazującem wezwany ostrożnie burt przestąpił i stanął, trzeci już nie mógł mniej odwagi pokazać od dwóch swych towarzyszów. Choć ociągając się nieco i ostrożniej od nich wszedł do czółna.

Zaledwie się w nim pomieścić mogli. Hänschen kijem się o brzeg oparłszy, odpychał już wątłą barkę, która się na wsze strony wahała.. Fryc na nogach się nie mogąc utrzymać przysiadł... Hänschen stał... Czołno wydobywało się na mętne wody Szprewy, której pęd zaczynał je unosić... lecz niedosyć starannie rozłożony ładunek na jedną stronę tak przeważał, iż woda zaczynała zaglądać. Fryc rzucił się w przeciwną zbyt gwałtownie tak, że stąd znowu zajrzała woda... Łódka się ustatkować nie mogła, a butny Hänschen wcale jej pokierować nie umiał. Tymczasem coraz dalej odbijali od brzegu...

— Stój! stój! — krzyknął Fryc — dosyć tego żartu i brawady! Kat ją wie! rzeka, choć ma minę, że pomyjami płynie, może mieć zdradliwe głębiny... Donnerwetter! utonąć w Szprewie to i śmiesznie i niesmacznie... Zalane mieć gardło wszystkiemi brudami miejskiemi... Stój — niech cię kaci porwą...

Wołał jeszcze, oburącz trzymając się łódki, w której głąb padł był także ospowaty, gdy Hänschen nie zważający na nic, w chwili, gdy miał już pieśń burszowską zanucić, stracił równowagę i na wznak padając głową w wodę się zanurzył. Rozprysnęły się szeroko fale, dwaj studenci pozostali o mało także nie wypadli i winni byli chwyceniu się łódki, iż w niej zostali. Hänschen zniknął.

Szprewa nad wszelkie spodziewanie była w tem miejscu głęboką...

Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi towarzyszów...

Na chwilę rozwarta paszcza wody zamknęła się nad szalonym chłopakiem... W chwilę potem

ręka jedna i głowa pokazały się nad powierzchnią wody... widać było wysiłek próżny tonącego... zniknął powtórnie... przechyloną łódkę prąd wody zwolna unosił od miejsca, na którem się to stało.

Przechodzący, którzy patrzeli z brzegu, poczęli krzyczeć i nawoływać — kupka ludzi ciekawych ale do ratunku nie ochoczych zbiegła się u mostu i na wybrzeżu. Wszyscy rękami wskazywali miejsce, jedni zachęcali drugich, ale nie szedł nikt. Zdawali się oczekiwać, czy śmiałek nie wypłynie...

Jeszcze raz zdawało się, iż ręka jego na jedno oka mgnienie wydobyła się z wody... Hałas nad brzegiem się wzmagał.

W tej chwili młody chłopak, który zdala zapewne musiał widzieć wszystko, biegiem szybkim zdążał do miejsca, od którego odpłynęło czółno.

Byłto słusznego wzrostu, pięknej budowy młodzieniec, skromnie a raczej ubogo ubrany... Po długich włosach i po paczce książek, którą rzucił na ziemię, poznać było łatwo studenta... Stanąwszy nad brzegiem i uwolniwszy się najpierw od papierów, które miał z sobą, zrzucił surdut i kamizelkę, oddając je pierwszymu lepszymu z ciekawych, a sam jak stał, skoczył w wodę i popłynął.

Patrząc, jak dzielnie i silnie rękami robił, jak żywo posuwał się ku środkowi rzeki, pomimo że mu odzież zawadzać musiała — przytomni przyklaskiwali.

Ten jednak, komu młodzieniec surdut i książki oddał w opiekę znać słabszych będąc nerwów od innych i nie mogąc patrzeć na tak straszne widowisko, zapomniawszy pewnie, iż cudzą własność z sobą unosi, wysunął się zręcznie i zniknął gdzieś w oddaleniu.

Z mostu i z brzegów przypatrywano się ciekawemu ratunkowi tonącego. Śmiały chłopak poszedł na dno, nie było go dosyć długo, ukazał się potem ale walcząc z ogromnym Hänschen, który resztą sił pochwycił go pod wodą za nogę i zamiast siebie ratować, zbawcy swemu groził utopieniem. Choć mniej może silny lecz zręczniejszy od niego, dobywając ostatka sił... nieznajomy wypłynął na powierzchnią, potrafił nogę od konwulsyjnego uwolnić uścisku i razem z uratowanym zbliżał się ku brzegowi.

Ogromny okrzyk dał się słyszeć zewsząd, z mostu, okien domów... z wybrzeża, na którym tłumy się już były zebrały... Witano z uczuciem ludzkiem zacnego wybawcę, który własne życie poświęcił dla uratowania nieznajomego. Znalazło się nareszcie dwóch rybaków, którzy podali linę kij, aby się zmęczony pływak mógł ich chwycić.

W chwilę potem na wilgotnej ziemi leżał Hänschen prawie bezprzytomny, siny, a przy nim otrząsając się z wody niespokojnymi oczyma szukał swych książek i sukni młody chłopak, aby się co prędzej oddalić i uniknąć podziękowań i niemiłych pochwał, któremi go obsypywano.

Policyant już nawet, za późno przyszedłszy, rozpędzał tłum, aby módz zdać szczegółowy raport zwierzchności. Znalazł się i lekarz, który przykląkłszy, zajął się cuceniem omdlałego bursza... Zbawca tymczasem napróżno do koła się oglądał dopominając się swych sukni.. Chłodny dosyć wieczór powrót do domu w obmokłej koszuli bez wierzchniej odzieży czynił bardzo przykrym.

Studentowi też znać nie tyle już może szło o surdut co o książki, które razem z nim znikły.

Oburzali się przytomni, klął policyant — lecz nie było na to rady...

Nerwowy ów jegomość nie powracał, odzież i książki przepadły. Chłopak znać sobie pomyślał, że na świecie najczęściej się tak opłaca poświęcenie dla ludzkości — uśmiechnął się smutnie i już tak, jak stał, chciał się co najprędzej wyrwać z ciżby i pójść gdzieś ogrzać przynajmniej po niepotrzebnej zimnej kąpieli.

Tymczasem łódkę z dwoma towarzyszami Hänschen'a przyprowadzono do brzegu, wylękli bursze stali smutni nad ciałem towarzysza, który wprawdzie znaki życia dawał, ale nie był jeszcze przytomnym...

Fryc zbliżył się do zmokłego zbawcy.

— Cześć wam i chwała, kolego — rzekł. — Postąpiliście sobie po bohatersku a wierzcie mi, nie ocaliliście niewdzięcznika. Riebe najpoczciwszy chłopak w świecie, chociaż szalona pałka. Nic mu przecie nie będzie... a ojciec wam za to podziękuje.

— Widujemy was na lekcyach, pozwólcie spytać o nazwisko?

— Ale to najprostsza w świecie rzecz, com zrobił — odparł słabym nieco głosem zmokły — pierwszy lepszy umiejąc pływać uczyniłby toż samo.

I nie chcąc nawet powiedzieć nazwiska odchodził.

— Proszę was, imię wasze!

Pochwycił go za rękę Fryc...

— Bardzo was proszę.

— Nazywam się Wolski — rzekł chłopak — spotkamy się gdzieindziej. To najgorzej, że mi moje książki skradziono.

— I surdut! — zawołał Fryc.

— A! już mniejsza o surdut stary — ale książki! książki...

I westchnąwszy wysunął się już, gdy zatrzymano go zziębłego znowu.

Dziwnym trafem niedaleko ztamtąd koło kościoła św. Jadwigi mieszkającymu radzcy komercyjnymu p. Gottliebowi Riebe dano znać o wypadku syna i o uratowaniu go szczęśliwem. Radzca, żona jego i córka już byli zdyszani przybiegli łamiąc ręce... Lekarz ich uspokoił, że kochanemu Hänschen nic nie będzie, pokazano radzcy komercyjnemu biednego zbawcę trzęsącego się od zimna. Poczuwając się do obowiązku wdzięczności pobiegł zaraz uścisnąć jego rękę. Był to sporego wzrostu Niemiec, ryżo-siwy, biały bardzo, otyły dosyć i mocno piegowaty. W dziurce od guzika miał nieopuszczający go nawet w domu order korony klasy trzeciej i jakiegoś orła klasy czwartej.

Te oznaki wdzięczności mogły co najmniej febry nabawić, zatrzymując na zimnie mokrego bohatera. Skłoniwszy się więc wyrwał się nareszcie z ciżby a spostrzegłszy naprzeciw knajpę, której cała służba w progu stała... co prędzej do niej się wsunął.

Gospodarz może w innym razie gościowi takiemu nie koniecznieby był rad, bo z niego woda jeszcze ciekła, ale obrachował, że ciekawi za nim podążą i zrobi się mały geszefcik, bo się muszą czegoś napić. Powitał go więc otwartemi rękami i zajęto się zaraz pomaganiem młodzieńcowi przy zmianie sukien i osuszeniu.

Pan Kajetan Wolski, którego widzieliśmy tak ochoczo rzucającego się w wodę dla ocalenia życia nieznajomemu... rozmyślał teraz w małej izdebce na tyle restauracyi, co miał począć z sobą.

Był to piękny chłopak może dwudziestoletni, ciemnych oczów, orzechowych włosów polepionych teraz na skroni, zwykle wyglądający blado a od zimna zsiniały. Melajncholiny wyraz jego twarzy stał się posępnym i chmurniejszym niż zwykle. Żal mu było książek i notat zatraconych, a prawdę powiedziawszy, surduta i odzieży, bo ich do zbytku nie miał.

Ubogi, żyjący z małego zasiłku, jaki z domu odbierał, z lekcyi i przepisywania rozmyślał właśnie, co pocznie. Spoglądał na siebie i zdawał się obrachowywać, czy suknie przyległe do ciała, buty i to, co na sobie miał, przydadzą się na co jeszcze. Myślał też, jak się dostać do domu, bo mieszkał dosyć daleko... a posyłać nie mógł i nie chciał.

Położenie dość było przykre. Chodził po izdebce machinalnie patrząc na mokre ślady, jakie po sobie zostawiał, rachując i to, że gospodarzowi trzeba też będzie idemnizować wodę, którą przyniósł z sobą, i grzane wino, którem go poczęstował — wypite w pierwszej chwili bezmyślnie dla pozbycia się uczucia przykrego wewnętrznego chłodu.

W kieszeni miał wprawdzie sakiewkę, ale w niej nie było więcej nad kilka trojaków. Sądził, że najlepiej uczyni, nie przyznając się i do tych, a dając tylko adres swój i nazwisko z zaręczeniem zapłaty.

Rozmyślał tak jeszcze, gdy się drzwi otworzyły i w nich pokazała się figurka niepoczesnego, trochę garbatego, dosyć wyelegantowanego, na złość temu garbowi młokosa, który ręce otworzył zrazu, krzyknął, chciał się rzucić w objęcia Wolskiego, ale się powstrzymał.

— Jesteś mokry jak ryba, — zawołał, uścisnę cię inną razą. Ale mi ślicznie wyglądasz. Przechodząc, dowiedziałem się od jakiegoś bursza o nazwisku bohatera, które mimo przekręcenia poznałem a raczej domyśliłem się, że nie kto inny jak ty mogłeś takie głupstwo zrobić, żeby w zimną plusnąć wodę — gdzie? do Szprewy! po co? aby Niemca ratować! A toć ich chwała Bogu tylu jest... nie zbywa na nich! Gotów jesteś dostać febry.

— Febra to by była najmniejsza rzecz — odezwał się Wolski — ale wystaw sobie, rzuciłem książki i odzienie na brzegu i ktoś skorzystał z zamięszania, aby mi je ukraść.

Garbus zaczął się śmiać serdecznie.

— A to przedziwne! otóż to masz, naucz się, co kosztuje chcieć grać rolę bohatera i zbawcy. Słyszałem od ludzi — stała ich tam kupa, nie pospieszył nikt na ratunek tonącemu rodakowi, trzeba było, żebyś ty plusnął w wodę.

— A Pan Bóg ciebie tu przyniósł — przerwał Kajetan — abyś ty mnie ratował. W istocie jestem w najprzykrzejszem w świecie położeniu, nie mam się czem okryć a bodaj, że w knajpie będę miał czem zapłacić.

Wyelegantowany garbusek, który wyglądał jak z igły i zdawał się zamożnym, chwycił się jedną ręką za głowę, a drugą za kieszeń.

— A! niechże cię... ja bodaj nie mam więcej nad pięć trojaków.

— Ty?

— Ja! cóż chcesz... student też jestem, a studenckiego nihil a me alienum puto! Co może być bardziej studenckiego nad goliznę!

— Jednakże czekaj — dodał — nie mam pieniędzy, to prawda, lecz umysł mam obfity w resursa... Wiem, jak czułą opieką otacza cię poczciwa gospodyni twoja, wdowa Richterowa... lecę do niej, nastraszę ją, żeś się o mało nie utopił, pożyczy... przyniosę ci odzież, daj mi tylko klucz.

Kajetan głową potrząsał smutnie.

— Klucz gdzieś także na mulastem dnie Szprewy spoczywa — rzekł, zmokłe opatrując kieszenie — a u Richterowej za nic w świecie pożyczać nie chcę, kobieta biedna — jam i tak jej winien, i nie wiem, kiedy będę mógł oddać.

— Zlitujże się, tu nie czas ceremonie robić — krzyknął garbus. — Nie masz klucza, mniejsza o to — wytrych się znajdzie, reszta moja sprawa. Czekaj tu na mnie.

Nie czekając na odpowiedź, garbus zawrócił, w progu tylko powtórzył jeszcze. — Nie rusz się stąd i czekaj na mnie.

Wolski znowu smutną wedrówkę rozpoczął po małej izdebce. Gospodarz trochę niespokojny pokazał się wkrótce na progu. Zaczynał się domyślać, ze zmokły gość mógł być niewypłacalnym i już grzanego wina żałował.

Kajetan, który z rysów jego oblicza odgadł, co go trapiło, odezwał się żywo:

— Posłałem mojego przyjaciela po suknie i po pieniądze, bom i suknie i sakiewkę zostawił gdzieś w rzece. Nic potrwa to długo — bądź pan spokojny.

Gospodarz skłonił się w milczeniu.

— Prawdę powiedziawszy — bąknął po namyśle — panby się bardzo słusznie i sprawiedliwie mógł o swą szkodę dopomnieć u radcy komercyjnego von Riebe. To człowiek bardzo majętny. Tak! tak! bardzo... bardzo. Ocaliłeś mu pan syna — i to jeszcze jedynaka. Pani radczyni niemłoda i chorowita, wątpię, żeby się kiedy drugiego doczekał. Jedynak syn, dla którego on sobie von wyrobił. A co go to panie kosztowało!

Ruszył ramionami.

— Pan musi znać radzcę komercyjnego „von“ Riebe? — spytał spoglądając z ukosa.

— Nie — rzekł Wolski.

— Ale pan w przyjaźni z jego synem?

— Poznałem się z nim bliżej na dnie Szprewy.

Gospodarz się rozśmiał.

— Więc pan nie zna ani jego matki — ani pięknej siostry jego?

— Ani brzydkiej, ani pięknej, nie wiem nawet, czy ma jaką?

— A rzucił się pan do wody za nim?

— Tak samo jakbym się rzucił ratować pana, którego znać też nie mam przyjemności — rzekł Wolski.

Po chwili namysłu gospodarz podniósł oczy i rzekł cicho:

— Pan Polak?

W zapytaniu tem tak było głębokie znaczenie, takie pokryte szyderstwo, coś tak okrutnego, że Wolski nie odpowiedział zrazu. Nie chciał podnosić znaczenia tego zapytania.

Gospodarz tymczasem popatrzywszy nań, krzesełko poprawił i wyszedł.

Wolski stał zamyślony. Nie wiedział jeszcze, czy się ma gniewać czy cieszyć pytaniem, gdy gospodarz powrócił ze szklaneczką glüwejnu na tacce...

— Niechno pan pije — to pana rozgrzeje.

Kajetan chciał podziękować i rzekł śmiejąc się.

— Pieniędzy nie mam przy sobie.

— To nic, to nic — dodał stawiając wino gospodarz.. ale pan Polak... I wyszedł z ukłonem.

Pierwsze pytanie naprawiło się zupełnie drugą odpowiedzią.

Wolski, czując przykre dreszcze, nie droczył się już i wino wypił.

W pokoiku zaczynało się robić ciemno... przyniesiono świecę... wszystko to w duchu rachował biedny Wolski, bo musiał za to płacić. Śmiesznie było przez oszczędność chcieć zostać po ciemku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wkrótce rozpoczniemy druk trzeciej bardzo zajmującej powieści.

HUMORYSTYKA.

MIGAWKI.

Sen mojej żony.

Nigdy nie dawałem żonie powodu do zazdrości i nasze niebo małżeńskie było czyste, jak sumienie noworodka. Mogłem prawić komplementy młodym paniom i pannom, mogłem lornetować je w teatrze, mogłem rzucać znaczące spojrzenia — moja żona śmiała się tylko i nigdy nie była zazdrosną.

— Ma w tem swoją przyjemność — mawiała do przyjaciółek — to niech kokietuje, lornetuje...

I byłem najszczęśliwszym z mężów.

Ale onegdaj zerwała się żona bardzo wcześnie i zbudziła mnie prawie gwałtownie. Otworzyłem oczy.

— Słuchaj, ale tylko szczerą prawdę mów: co to za jasna blondyna w fioletowym kostyumie i pąsowym kapeluszu?

Przetarłem oczy.

— Nie wiem o kogo pytasz, ale nie znam takiej wcale...

— Już teraz wiem o wszystkiem! Wam mężczyznom wierzyć nie wolno, jak psom! O, ja nieszczęśliwa!

Sięgnąłem pamięcią o czternaście lat wstecz, ale ani jedna z moich dawnych znajomych nie była jasną blondynką w fioletowym kostyumie i pąsowym kapeluszu.

— Powiedz mi, o co chodzi, może ci wytłumaczę.

— Nie, to się nie da wytłumaczyć blagą, ja już wiem o wszystkiem — o, ja nieszczęśliwa, ja się otruję, utopię!

— Ależ zastanów się...

— Przyznaj się lepiej do wszystkiego, masz z nią stosunek, prawda? Tylko prawdę mów i wszystko, wszystko...

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— A widzisz!

Po długich naleganiach dowiedziałem się, że się to wszystko mojej żonie śniło. Widziała mię w separatce z ową blondyną. Wypiliśmy kilka flaszek szampana, a gdyśmy potem odjechali doróżką, żona z desperacyi zbudziła się i chciała teraz dowiedzieć się koniecznie, jakie było zakończenie tej zabawy. A że w sny wierzy święcie, więc jest przekonaną, że coś w tem być musiało.

Nie pomogły moje przysięgi i perswazye, żona szlochała, jak dziecko.

Poszedłem do biura.

Wróciłem w południe, ale nie jedliśmy obiadu. Znowu perswazye, znowu bez skutku. Uciekłem do kawiarni. Miałem sumienie czyste, a jednak ciążyła mi głowa ołowiem.

Wróciłem do domu dopiero pod wieczór. Zastałem tu już zgromadzoną całą rodzinę. Teściowa, dwie szwagrowe, ciotka i dwie kuzynki. Wszystkie bardzo smutne.

— Przeproś żonę — mówiła teściowa — i przyrzecz, że to się już nigdy nie powtórzy...

— Ależ co się ma powtórzyć — spytałem zrozpaczony — i za co właściwie mam ją przeprosić?

— Widzi mama — rzekła żona z płaczem — on się wypiera i nawet przeprosić nie chce.

— Więc przeproś, przeproś — zawołały baby chórem — o cóż ci chodzi, przeproś ją, patrz, jaka zmartwiona.

— A więc... przepraszam...

— Jeszcze mamę przeproś — mówiła żona — i Helę, i Felę, i Gucię, i Jadzię, bo one się także zmartwiły przez ciebie.

I musiałem po kolei przepraszać jedną za drugą, za to, że się mojej żonie przyśniła jasna blondyna w fioletowym kostyumie i pąsowym kapeluszu. Gdyby choć mnie się to było śniło!

Klewe.

Stracił.

Chory na katar kiszek, reumatyzm i podagrę, otrzymuje od swego lekarza radę, by pojechał do zagranicznych wód.

— Nie pomogą panu one — mówi do niego, — na wszystkie choroby, ale zawsze coś tam pan straci.

Po powrocie, chory przychodzi do lekarza.

— No jakże tam — zapytuje go on, — czy kuracya pomogła, coś pan za granicą stracił?

— Pieniądze, panie doktorze.

Z zadania Andzi.

Żydzi doprowadzili mury Jerycha do upadku, obchodząc miasto dokoła z muzyką, przyczem najskuteczniejszymi okazały się fortepian i gramofon.

Nieszczęśliwy.

Mały Jaś budzi się i zaczyna głośno płakać.

— Czego smarkaczu płaczesz, ledwie oczy otworzysz? pyta go ojciec.

— Bo mi się śniło proszę tatusia, że dostałem od mamy dwa ciastka i ledwo jedno z nich zjadłem, tatuś mnie obudził.

Stałe ceny.

— Ile kosztuje ten kapelusz, — pyta młoda dama sklepowej, u której za oknem wywieszono tablicę z napisem: stałe ceny.

— Nie należę do tych, które mówią paniom 60, 40, 30 rubli, mówię od razu dwadzieścia pięć.

— I ja nie należę do tych, co mówią 20, 15, mówię odrazu 10 i nie dam więcej.

— Proszę pani, gdzie mam kapelusz odesłać?

Czuły brat.

— Czy to jest podobne Jasiu, abyś mógł zjeść tyle cukierków, nie pomyślawszy nawet o swojej siostrzyczce.

— Owszem mamusiu, myślałem ciągle o niej, lękałem się bowiem, aby zanim je zjem, nie nadeszła i nie zabrała mi ich połowy.

Dowcipny pod nożem.

Trzech doktorów operowało chorego, cierpiącego na wrzód w kiszkach i gdy zaszyto mu skórę na brzuchu jeden z nich przypomniał sobie, że pozostawił w ranie igłę. Rozpruto mu więc szwy, wyjęto zapomniany przedmiot i zszyto go na nowo.

— Kochany kolego — zawołał dokonywający razem z nim operacyi, zdaje mi się że i moje małe nożyczki w ranie pozostały, trzeba będzie znowu je wyjąć. — Wyjęto więc je i powtórzono operacyę zszycia.

— Moi panowie — odezwał się chory nareszcie do nich, widząc że i trzeci doktor również ma zafrasowaną minę, jak gdyby również czegoś w ranie jego zapomniał. — Jeżeli macie tak często pruć moją skórę, czy nie lepiejby było, abyście poprzyszywali na niej guziki do zapinania jej i odpinania.

Tragikomedya małżeńska.

— Erneście drogi, przygotuj się na straszną wiadomość!

— Przerażasz mnie, cóż takiego! przegraliśmy proces?

— Gorzej, stokroć gorzej. Erneście! odwagi! bądź mężnym!

— Ależ cóż się stało u dyabła?

— Znałeś Julka?

— Cóż? umarł?

— Uciekł z twoją żoną.

— Biedny Julek, żal mi go serdecznie!

Kuba w teatrze.

Fornal państwa X. z Kociałkowej Górki — odwoził po wakacyach panicza swego do szkół do Krakowa. Panicz zamiast napiwku obiecał zabrać fornala do teatru. Stósownie też do przyrzeczenia kupił bilet, a wręczając mu go, pouczył zarazem, jak się ma w teatrze zachowywać.

Kuba, wysmarowawszy sobie umyślnie na tę uroczystość buty słoniną, wymywszy czuprynę w wiadrze wody, w wyczyszczonej starannie liberyi świątecznej, o oznaczonym czasie poszedł z paniczem na to przedstawienie do teatru, gdzie zajął swoje miejsce na galeryi. Pan usiadł w loży.

Gdy podczas pauzy, powstał z siedzenia i podkręcając wąsika, zaczął oglądać się w koło za ładnemi twarzyczkami, Kuba zauważywszy to wszystko z galeryi, w myśli, że jego to panicz tak starannie szuka, odchrząknął głośno i przechylił się przez baryerę, chcąc tem postępowaniem zwrócić na siebie jego uwagę. Że to jednak żadnego skutku nie odniosło, obawiając się, by go z tak wysoka znowu nie słyszano — ku rozbawieniu całej zgromadzonej publiczności krzyknął na całe gardło:

— Panicu z Kociałkowej Górki! panicu! jo je haw!

Dziwna pretensya.

— Moja żono, — woła mąż do pięknej swojej połowy przy śniadaniu, w chwili gdy mu służąca podaje nowy rachunek od krawcowej. — Wczoraj zapłaciłem za twoje stroje sto marek, a dziś mam płacić znowu?

— Jakto znowu, — odpowiada z flegmą małżonka — przecież dziś jeszcze żadnego rachunku za mnie nie zapłaciłeś.

Nieostrożność.

— Gustek! jak ty mogłesz bicz tak nieostrożne, y szadacz na szodło,' skoro uno buło na koniu?...

Filozoficzna odpowiedź.

Gospodyni: Jabym tylko rada wiedzieć, kiedy mi pan wreszcie moją należność zapłaci.

Student: Kochana pani. To pytanie znowu mi przypomina, jak człowiek właściwie mało wie.

Powtórzyła.

— Hej! Maryś! biegaj co żywo po doktora, bo pani wpadła w stan katalepsyi.

U doktora:

— Prose pana, niek ino pan konsulorz leci zarosinki do mojej pani, bo wpadła do cegosik, i zodne miary nie moze się ztamtąd wygramolić!...

Fatalne pomyłki druku:

Pan Agapit lubił pasyami zajadać na kolacyą trupy z kwaśnem mlekiem.

Magda poszła do stajni doić gęsi.

Młyn ten okazał się bardzo skutecznem lekarstwem na piegi, które twarzyczkę panny Teci szpeciły.

— w połączeniu się z banią widzę cel mego życia jasno wytknięty przed sobą.

Wąsy panny Ludwiki wywarły niemiłe wrażenie na obecnych.

Nos pana Poznańskiego gwizdał jak najęty, aż przy tym hałasie rozmowa stała się niemożliwą.

Dama rozsiadła się na jego twarzy.